Cena 7 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 20 stycznia 1946 r. | Nr. 3 (60)

KAZIMIERZ BRANDYS

17 stycznia 1945 r.

Rok mija od tych dni. Zapadły mi w pamięć niezmiennym obrazem: słońce ukazywało nam co rano skrzącą ścianę trębaczewskiego lasu, w którym przebywał oddział leśny Rafała, żołnierz sowiecki Iwan i Żyd Chaskiel, blacharz z Mogielnicy. Ten las odgradzał wówczas od świata. Zza lasu czasem nadchodziła wieść pełna nadziei. Wszystko złe działo się po naszej stronie. Niewiele mieliśmy otuchy w tych pierwszych dniach roku wyzwolenia.

Nasze chałupy głęboko przysiadły w śniegu, który spadł jakiejś nocy. Usadowiły się niedaleko dworu. Dwór chował się w szpalerach, grabach i świerkach. Jeden z nich, stuletni, zaglądał mu w okno. Mieszkały na nim dwie wiewiórki, pędząc wesołe życie. Beztroskie, rude istoty, którym nie zagrażał oberleutnant Schramm z posterunku żandarmerii polowej w Nowym Mieście. Nie sądzę jednak, aby zdawały sobie z tego sprawę. Raz spotkałem wzrok jednej z nich. Patrzała na mnie uważnie, z szyszką w brązowych łapkach, strzygąc uszkami. Chciałem zawołać: — Nie bój się, chodź tu. Nie dręczę wiewiórek! Nie dręczę nawet ludzi... — Ale spostrzegłem się, że ma powody, aby mi nie wierzyć, równie uzasadnione, jak ja, gdyby mnie oberleutnant Schramm zapraszał na posterunek w Nowym Mieście, cytując na poparcie wersety Ewangelii.

Dwór był niewielki i nad skąpym panował obszarem. Więcej było w nim okien, baszt, schodków, wieżyczek niż naokoło hektarów. Pięć koni, bryczka, dzierżawiony sad, aleja grabowa w parku i gazon przed gankiem, zamieniony w kartoflisko — ot i całe wielkopaństwo. We dworze ukrywano młodą Żydówkę w osobie nauczycielki i jeńca Mikołaja z Dniepropietrowska. Jeniec rąbał drzewo i spał w kuchni. Nocą nie trudno było z lasu zawitać pod boczny ganek i zakołatać trzykrotnie w umówiony sposób. Leśni z oddziału Rafała, partyzant Iwan oraz blacharz Chaskiel mogli się tu byli łatwo spotkać jakimś nocnym przypadkiem. Był to dwór bardzo polski, lecz bardzo postępowy. Sprzyjano tu ściganym, nie odmawiano azylu wyjętym spod prawa. Karmiono nawet niewdzięcznych. Byli i rezydenci. Żona dowódcy pułku kawalerii, malarka, ksiądz i hrabia. Brydż w grudniowe wieczory, rozmowy o Piłsudskim, konfitury z agrestu i naukowe komentarze do wróżby z Tęgoborza.

Za szpalerem, za drogą dworską — rozrzucone chałupy, chude chłopskie wisienki w opłotkach, otulone śniegiem, szczekanie psów, zgrzyt studni. Wiatr gwizdał nam w szparach, Warszawiakom, gdy zasypialiśmy nasłuchując głosów, które nie chciały nadejść. Było cicho w te noce. Łańcuch dzwonił w psiej budzie, wiatr nanosił śnieg za ścianą. Tak liczyliśmy czas po szmerach nocy. Zbliżały nas do dnia. W ciszy trudno było liczyć godziny. Odwykliśmy od niej po letnich nocach warszawskich.

Stanowiliśmy wówczas odrębne plemię, zbyt nagle i boleśnie wykorzenieni z gruntu, aby czas mógł dla nas biec podobnie jak dla innych. Bardziej niż innym śpieszno nam było do wolności. Chcieliśmy wracać do domu, którego już przecie nie było i mówiąc: „wolność" — myśleliśmy o nim, zawsze niepoprawni. W tej okolicy było nas sporo. Inżynier z wąsami Podbipięty, który zamienił izbę w chałupie na nowoczesne wnętrze za pomocą jakichś brzozowych kombinacji, wdowa po lekarzu z córeczkami; o kilometr dalej piękna i uczona panna — magister praw, fryzjer z ulicy Dobrej oraz garbaty weterynarz z Żoliborza. Wysypało nas jak z worka po całej Polsce; gdzie nogę postawisz, nadepniesz na Warszawiaka: pod Krakowem żyła wówczas moja matka, której nigdy już nie miałem zobaczyć, w Częstochowskim ciotki i kuzynki, kolega Otwinowski piłował cudze drzewo na opał w Zalesiu, kolega Dygat trzymał stragan korzenny pod parasolem w Komorowie, a kolega Breza, jak mówiono, ukrywał się pod Ojcowem w tejże samej grocie, w której Władysław Łokietek przetrwał ówczesne łapanki.

Między Mogielnicą a Nowym Miastem, niedaleko Rawy Mazowieckiej, a od Warki kilometrów pięćdziesiąt, niewiele wiedziano o świecie i dziejach wielkich zmagań, od których były zależne losy każdego z nas. Wieści przybywały tu spóźnione, prawdy — nieścisłe. Źródłem mądrości politycznej był sekretarz gminy, dialektyk, który tłumaczył kataklizm wojenny starą przyjaźnią między Hitlerem a Piłsudskim, zawartą jeszcze na ławie szkolnej. — Czy być może? — pytałem zdumiony, — ale przecie Hitler o jakie piętnaście lat młodszy! Więc jakże: na jednej ławie? — Nic z tego, — odpowiadał sekretarz z niewzruszonym spokojem — chłopak był zdolny. Innych w nauce wyprzedzał. — Chłopak był zdolny — potwierdzałem z szacunkiem, ganiąc w duchu własną naiwność. I milkliśmy na chwilę, aby posłuchać cichego brzęczenia szyb. To drżało powietrze od dalekich wybuchów zza Wisły.

Na święta przybyły dwie głuche wieści. Jedna, że generał Bór został obwołany naczelnym wodzem w Londynie. Druga, pokątna i nieoficjalna, że Janusz Minkiewicz piastuje tekę ministra oświaty w rządzie lubelskim. Na szczęście tylko pierwsza z nich okazała się prawdziwa. W tym czasie również zbiegł z oddziału Rafała holenderski volksdeutsch Peter, dezerter z Wehrmachtu, którego oddział leśny przygarnął, obdarzył zaufaniem i nieco przedwcześnie postawił z bronią na warcie nocnej. Ten dwukrotny zdrajca zdradził po raz trzeci: zaczął wskazywać żandarmom kwatery oddziału, miejsca zbiórek, magazyny i — ludzi. Na powiat spadły ciosy wymierzone celnie: w młynie otoczono dowództwo batalionu, na leśniczówce pławiono w studni skatowanych do krwi gajowych, w sąsiedztwie padł ofiarą stary administrator. Niemcy przyjeżdżali zwykle o świcie i otaczali zabudowania. Mały czarny łotr w mundurze bez odznak i z gołą głową wskazywał ludzi cienką trzcinką: — Bandit.

Pętla koło dworu zaciskała się coraz ciaśniej. Pierwszy uciekł hrabia-rezydent, za nim malarka, wreszcie ksiądz. — Co robić? — pytała nauczycielka, której sytuacja była trudna. — Zamieszkać na świerku — radził inżynier z wąsami, patrząc na wiewiórki, które goniły się z gałęzi na gałąź. Sam wychodził na noc do Pelinowa w powiecie grójeckim, którego granica biegła o kilka kilometrów. Wracał nazajutrz. Raz spotkał w połowie drogi zegarmistrza z Warszawy, który szedł w stronę przeciwną, z Pelinowa do naszego powiatu. — Gdzież pan zdąża? — zainteresował się inżynier. — Pod trębaczewski las, — odrzekł zdenerwowany zegarmistrz — w Pelinowie gorąco. Biorą Warszawiaków. — Inżynier zaśmiał się, zawrócił i zdał się odtąd na wolę boską. — Jakież mam inne, proszę państwa, wyjście? — rzekł rozkładając ręce po powrocie. — O, — rozpaczał zegarmistrz, który nie dał się zawrócić z drogi i teraz obejmował rozmiar swojej klęski — tu źle i tam źle. Co mi teraz zostało? — Świerk — odparł ponuro architekt i wskazał palcem w stronę dworu.

Ta noc istotnie okazała się odmienna od wszystkich poprzednich. Jakimż warszawskim uszom mogłoby ujść wówczas to cichutkie dzwonienie, którym odezwały się okna ścięte mrozem? Sen nie chciał przyjść. Drżenie szyb było inne niż dotąd. Powietrze zza Wisły nasyłało rytmiczne serie, była w nich zaciętość, napór. Siedzieliśmy w poduszkach trzymając się w ciemności za ręce. Tłumiliśmy oddech, aby żaden głos w płucach i sercu nie mylił się z tym graniem szyb. Wciąż rosło. Wysoko nad lasem wspięła się monotonna, usilna nuta motoru. Zacząłem modlić się po ciemku, aby nie zamilkło powietrze i niebo.

Ale ranek znów przywitał nas białą, rozległą ciszą. Niebo było puste i chłodne. Tylko tłuste gawrony skrzeczały na ściernisku pod lasem.

— Wracaj pan — radził inżynier zegarmistrzowi. — Prędzej trębaczewski las przyjdzie do Pelinowa niż oni tutaj. Nocna pierestriełka. Zbieraj się pan i wracaj.

Zegarmistrz zrobił płaczliwą minę, zarzucił plecak i ruszył przed siebie. W chwilę potem znikł za wydmami. Droga była kręta. Inżynier owinął się burką i splunął w śnieg. Wiatr gwizdał po opłotkach.

Koło południa jednak niebo znów przyszło nam z pomocą. Samoloty pojawiły się nad lasem i zaczęły powoli wspinać się ku słońcu z mozolnym, wysokim śpiewem. Stamtąd dopiero, w sekundzie błysku, wypadały jak z cięciwy celując dziobami w horyzont. Było ich wiele. W miejscu, gdzie zachodziło słońce, słaniały się szare dymy. Skrzydła świeciły jak ostrza. Skośnie i stromo cięły ciszę bolesnym rykiem motorów. Spiralami krążyły nad szosą, aby wniknąć wreszcie prostym i strasznym rzutem w daleką, niską mgłę. Stamtąd dawały znać o sobie głuchym stękiem ziemi.

Przed zmierzchem z wydm od strony Pelinowa wynurzyła się zasapana postać. Był to zegarmistrz z Warszawy.

— Pan znów tu? — zdziwił się inżynier. — Lubi pan spacery?

— Żarty na bok, panowie — jęknął mieszkaniec Pelinowa. — Oni tam już są. Widziałem z krzaków. Okopują się. Uciekłem, bo wzięliby za szpiega. Będziem tu mieli front, Matko Święta.

— Co za oni? Co pan plecie? — złościł się inżynier.

— Sowieci — tłumaczył zegarmistrz. — Okopują się pod Pelinowem. Błędów wzięty dziś rano. O, pozwólcie panowie przysiąść. Ledwiem uciekł. Myślałem w pierwszej chwili, że własowcy. Ale nie, patrzę, czerwone gwiazdki. Sam widziałem czerwone gwiazdki.

— Może białe myszki także? Panie, to delirjk — szepnął mi inżynier do ucha i machnął ręką. — Tu już cisza, panie. Potatali, polatali i przestali. Prędzej Wawel przeniesie się na Saską Kępę niż...

Ale nie dokończył. Zerwaliśmy się wszyscy trzej. Od wydm niósł się bliski huk. Długi, powolny świst przeleciał nad dachem. Okna wzdrygnęły się z grzechotem. Zegarmistrz przeżegnał się i nałożył czapkę.

Noc zwaliła się na nas jak nagłe piekło. Smukłe, gwiżdżące śpiewy rwały się za lasem w ciężkich jękach. Gdzieś z boku klaskały cekaemy. Chałupa dyszała od podmuchów powietrza. — Idą — mruknąłem do siebie. Wówczas inżynier zgasił światło, wstydząc się własnej nadziei. Schylaliśmy głowy, aby ułatwić drogę pociskom. Na szosie wściekle kołatało działko, szrapnele pękały w wiśniach; ziemia wylatywała wysoko, sypiąc się po ścianach. W chwili ciszy pies zaskomlił trwożnie pod stodołą. — Królowo Korony Polskiej módl się za nami — powiedział zegarmistrz z podłogi.

Nad ranem znów pewnie spadł śnieg, bo w okna zajrzały nam chude rózgi wisien, zgrubiałe jak od bandaża. Inżynier z zegarmistrzem spali na podłodze, objęci wpół przez sen. Zacząłem nasłuchiwać, ale powietrze było nieruchome i czyste. Nawet robak nie zachrobotał w szparze. Opuściłem głowę na pierś. Ciążyła mi. Zbyt wiele było dla niej ciszy. — Pierestriełka... — mruknął inżynier we śnie. I wtedy właśnie, przez okno zawalone śniegiem, od wiśniowej dróżki koło płotu rozległo się wesołe rżenie. Młody, ostry głos wołał donośnie w okna:

— Skażitie, gdzie tu chaziain? Udrał z germancom, czort?

Było ich dwóch, konnych. Śniady wyrostek w futrzanej czapie wjechał truchtem w podwórze, na kusej, kosmatej kobyłce. Długie nogi w walonkach zwisił po chłopsku bez strzemion. Za nim stary zgarbiony Mongoł w baranim kożuchu wlókł się o krok z tyłu. Z czworaków i chałup ludzie grzebali się w śniegu. W burym futrze czapki błyszczała czerwona gwiazdka. Chłopak zakreślił ręką szeroki krąg: — Oswoboždieno! — I zaczął się śmiać do nas znad końskiego łba. Potem wskazywał ręką na zachód i krzyczał coś wciąż szczerząc zęby.

— Co on mówi? — zaniepokoił się inżynier

Fragment portalu z Dawidem i Betsabą z r. około 1230 w kościele klasztornym w Trzebnicy na Dolnym Śląsku. Kościół fundowany w r. 1203 przez Henryka Brodatego budowano w ciągu XIII w. Reprodukowany fragment jest zapowiedzią tzw. baroku romańskiego i należy do najpiękniejszych zabytków tego stylu na Śląsku.

i szturchnął przybysza z Pelinowa. — Dowiedz się pan. — Powiada, — wykręcał się zegarmistrz — że otoczeni. Ale nie wiem dokładnie kto. My, czy Niemcy. — Mała rzecz! — denerwował się inżynier. — Chcę wiedzieć na pewno: otaczam, czy jestem otoczony? Zależy mi wprost na tym. Idź pan spytać się. — Da, da, — uspokajał krasnoarmiejec w walonkach — oswoboždieno! — Znów zataczał ręką szerokie koło aż po trębaczewski las i śmiał się. — Chodźmy do dworu — namawiał inżynier. — Może są tam jeszcze jacy. Ten jakiś, panie, humorysta.

Poszliśmy we trzech. Biała ziemia cisnęła się zewsząd w niewyspane oczy. Brał mróz. Od szpaleru wybiegła ku nam zadyszana nauczycielka w kożuszku: — Są już u nas! Cały sztab z mapami! Wszystko, powiadają, „oswobodili". Grójec oswobodili, Nowe Miasto — oswobodili, Mogielnicę — oswobodili. Wsio oswoboždieno! A oberleutnant uciekał w kalesonach przez miedze!

— Niemożebne — wzruszył się inżynier i najeżył wąsy. — W kalesonach?

— Niemożebne — powtórzyłem za nim wstrząśnięty i przyszło mi na myśl, że to obce słowo ma jednak realne pokrycie. Zostałem oswobodzony od oberleutnanta Schramma. Ja, a także koledzy Breza, Otwinowski i Dygat. Świerk zaszeleścił nad nami spokojnie od wiatru, który znów powiał z wydm. Sucha szyszka upadła koło moich stóp.

— Patrz pan, sowieci idą w las — trącił mnie nagle zegarmistrz.

Długą, rozciągłą gromadą bataliony wkraczały w ścianę trębaczewskiego lasu, na którą kładło się wczesne słońce. Ludzie w białych kombinezonach szli zwartą grupą na czele, jak wodzowie plemienia. Działa wysterczały z czołgów skośnie smukłe, czarne lufy. W szeregach śpiewano. Kolumna posuwała się w gwarze i krzykach, kosmate kuce ciągnęły jaszcze, żołnierze w baranich czapach wlekli się na oklep i pieszo. Białe, smutne woły szły w chłopskim zaprzęgu, płozy tarły się o śnieg. Bokiem terkotał motocykl.

— Zdrastwujtie! — krzyknął zegarmistrz i pomachał czapką. — Na Rawę idą. Wracam do Pelinowa.

Kolumna powoli znikała w lesie. Zostaliśmy sami pod świerkiem. Inżynier zadarł głowę do góry, w igliwie. — Puć, puć, puć! — wabił wiewiórkę, która smyrgnęła z gałęzi. — Puć, rudeńka! Oswoboždiena... Nie ufa, drańsтwo — westchnął i z lirycznym namysłem splunął w śnieg.

*

Nocami krasnoarmiejcy palili ogniska w parku dworskim. Coraz to nowe kolumny ciągnęły przez wieś. Zbrojne brunatne tłumy mozolnie wędrowały pooraną drogą wzdłuż szpaleru, na trębaczewski las. Baby w wełniakach stały przy trakcie słuchając obcych piosenek. Mali chłopcy biegli za wojskiem, pokazując palcem żółtych Kałmuków w futrzanych nauszkach, którzy sennie kiwali się w wozach krytych płótnem. W nocy, przed świtem budziło nas często zawodzenie motorów, wołania i gwar. W blasku ognisk auta wytaczały się powoli z klombu przed szpaler, jęcząc ciężko w śniegu. To jakaś spóźniona jednostka opuszczała kwaterę. Nazajutrz przybywała nowa. Zmieniały się częściej niż słońce z księżycem. Od świtu przed stajniami uwijali się żołnierze w grubych bluzach, dźwigając gałęzie świerków na osłonę aut. Krępi, w kusych watówkach armiejcy rąbali drzewo i nosili wodę ze studni. W kuchni na słomie czyszczono broń. Dwór był otwarty na przestrzał. Brudny śnieg topniał na posadzkach. Po dywanach chodził drób. Nocą w czworakach gwardziści pili spirytus ze służbą. Dużo ludzi przeciągało w tych dniach przez dwór i przez wieś. Nie pamiętano ich twarzy. Wszystkie wydawały się podobne, zakryte futrem po brwi. Ogromny gwardzista z pepeszą, dawny moriak z czarnomorskiej floty opowiadał w kuchni dziewczętom o swym storpedowanym okręcie. Potem grał na organkach i śpiewał piosenkę o matce, której Niemcy zabili synà. Dziewczyny płakały, dwaj Tatarzy z cienkimi wąsami podpierali rękami nieruchome twarze, pół leżąc na słomie. Moriak smucił się, milczał i znów śpiewał: „Tuczi nad gorodom stali..." Potem wyciągnął gruby palec do inżyniera, który nagle wyrósł w drzwiach kuchni w ośnieżonej burce. — Pan! Warszawa oswoboždiena! — I mruknął po namyśle: — A Kraków toże. — Inżynier cmokał z podziwem i otrząsał burkę. Tatarzy mruczeli przez sen.

W niebieskim pokoju, w narożniku z wieżyczką, kwaterowali dowódcy. Tam pewnego wieczoru poznałem kapitana-czołgistę z Kaługi. Pokój niebieski, dawniej gościnny, zawdzięczał swą nazwę wytartej, błękitnej tapecie. Gdzieniegdzie jeszcze świeciła złoceniami empirowych wianuszków, z których składał się deseń. Kapitan mówił po polsku. Wdrapałem się tam po krętych, skrzypiących schodach, aby usłyszeć i upewnić się, że Warszawa jest wolna. Oficer siedział w rozpiętej kurtce twarzą do światła i golił się. Naftowa lampa oświetlała mu krótką twarz o twardych szczękach i żylastą szyję. — Niech pan siada — pogadamy.

W pokoju niebieskim byłem po raz pierwszy. Nad łóżkiem wisiał ryngraf z Matką Boską, w kącie pod oknem stare siodło, na nim oparte czako ułańskie; na ścianie przeciwległej — Piłsudski. W żelaznym piecu chrobotał ogień. Z konsolki spoglądało popiersie cesarza Francuzów. Kapitan goląc się opowiadał, jak Niemcy wrzucali dzieci sowieckie do szybów w kopalniach. Trzymał brzytwę w węzłowatych palcach i śmiejąc się liczył, ile kilometrów pogna Gitlera w ciągu jednego tygodnia. W pokoju było gorąco. Wydawała mi się groźna i dziwna owa poezja historii, która sprawiła, że technik z Kaługi przynosił tu z sobą pierwszą spokojną noc. Trudno było mi pojąć wymowę tej dialektyki dziejów. Człowiek, który siedział przede mną, zapewne nie zdawał sobie sprawy z posępnej ironii tego pokoju, jego sprzętów, ozdób, pamiątek. Czułem się jak aktor. Nie umiałem roli. To była odsłona dramatu, scena z przemyślnej satyry: wiedziałem, że Piłsudski, który wisiał na ścianie, szedł na Kijów, gdy miałem trzy lata; że ułan, którego czako świeciło w kącie, był pewnie pod Ostrołęką. Któż wie, czyje piersi i w jakich okazjach osłaniał ryngraf? Brakło mi tu jeszcze Kościuszki pod Racławicami, Batorego pod Pskowem, Rejtana, szarży Kozaków na Placu Saskim, Grottgera.

Kapitan golił się wypychając policzek językiem i mówił, odłożywszy brzytwę, że Pierwsza Armia Polska biła się pod Lenino. — Zuchy — chwalił Kościuszkowców, ocierając ostrze z piany kawałkiem „Izwiestii". I zapytał mnie, czy Polacy się cieszą z wkroczenia Armii Czerwonej.

— Cieszą się — odpowiedziałem. To była prawda. Mogłem mu to powiedzieć uczciwie. Ale również musiałem pamiętać, że słowo: „komunista" znaczyło w Polsce przed wojną tyle, co „wyjęty spod prawa". Musiałem pomyśleć o setkach miast i miasteczek, w których, jeśli istnieli sympatycy Rosji Radzieckiej, żyli pod trwałą ekskomuniką opinii świeckiej i duchownej. O sfaszyzowanych uczelniach. O wpływie ambon na sumienia. O pułkach kawalerii. O pozarozumowej niechęci do dialektyki materialistycznej. O interpretacji dziejów Polski w przedwrześniowych szkołach. Tak jest: cieszyli się. Ale ja wiedziałem więcej niż Rosjanin, który siedział z drugiej strony stołu. Już wtedy ogarnął mnie niepokój, czy długo potrwa okres przyrodniczej ulgi po odejściu Niemców i czy możliwe, aby pokłady nałogów, nawarstwiane od pokoleń w systemie polskiego myślenia, znów nie puściły pędów? Nie mogłem odegnać od siebie obawy, że wkrótce po zaczerpnięciu pierwszego tchu znajdą się w Polsce ludzie, którzy zaczną wołać wielkim głosem o swobodną praktykę obskurantyzmu, o wolność społecznej wymiany mroków i fałszów, których tyle wylęgła nasza maluczka historiozofia szlachecko-mieszczańskich głów.

Czułem się smutno od gorzkiej wiedzy, której nie posiadał mój sowiecki rozmówca. Jakżebym potrafił wytłumaczyć mu bez wstydu ów straszliwy nonsens, że sentymentom niejednego intelektualisty w Polsce obraz socjalny Rosji carskiej jest bliższy niż idea ZSRR? Któż z nas nie zna ciepłego mitu dawnych carskich czasów, dostatnich dni ojców i dziadków, petersburskiej francuszczyzny babek, kiedy to i miasto bogate i wieś spokojna, życie regulowane i zasobne, zgodne z hierarchią autorytetów! Ilu ojców, ileż babek potrafiło godzić ten wewnętrzny komfort ze wspomnieniem Kościuszki i Traugutta, z Łukasińskim, z „Księgami pielgrzymstwa", z „Irydionem"... Mieszkaniec Kaługi, którego miałem przed sobą, nie łatwo zdołałby zrozumieć zawiłość polskich losów i umysłów. Mógłbym go zdziwić nad miarę wyznając, że młodzież w moim kraju niewiele wie o rewolucjonistach własnego narodu, bo nazwiska ich omija się w podręcznikach historii. Mógłbym mu sprawić przykrość, gdybym zechciał go pouczyć, że przez dwadzieścia lat w Polsce skutecznie wpajano przeświadczenie o zbrodniczości ludzi, którzy obalili carat i znieśli własność prywatną środków wytwórczości. Że kto odważył się publicznie o tym zwątpić, ryzykował utratą bezpieczeństwa i dobrej sławy wśród bliskich. Milczałem. Zbyt trudną miałem rolę w tej odsłonie dramatu.

— Wy tutaj w Polsce — odezwał się kapitan — niewiele wiedzieliście o nas. Od tamtej wojny ćwierć wieku, a różnie żyło się tu i tam — wskazał ręką na wschód. — U nas mniej ludzie myśleli o sobie... — mruknął w zamyśleniu skręcając papierosa.

— Więcej pewnie o pracy dla państwa? — poddałem mu inteligentnie, bo zamilkł.

— Mniej o sobie — powtórzył. — Może i o pracy. U was za bardzo dbają o życie indywidualne. Ot, z dnia na dzień, z dnia na dzień — kołysał ręką w powietrzu. — Troszczą się. Nas uczyli: historia, tyle a tyle tysięcy lat. Potem twoja kolejka — rodzą cię, chorujesz na wątrobę, żenisz się, umierasz. I znów — tyle a tyle tysięcy lat. A do tego jeszcze dialektyka i przestrzeń międzyplanetarna. Ile z tego na człowieka wypadnie? A historia, proszę was, trwa. Społeczeństwo — dzieje się. Trzeba do rozumu dojść, a wtedy: rób, bracie, co do ciebie należy, resztę zostaw mądrzejszym. Chcesz żyć lepiej i dłużej? Pracuj nad przestrzenią międzyplanetarną, albo dialektyką, czy też w ogóle nad mózgiem ludzkim. Zrobisz coś, a historia cię przedłuży. Nie chcesz? To rób swoje, potańcz w klubie, poczytaj albo posłuchaj radia i czekaj, aż przyjdzie piatiletka na przemysł luksusowy. To się u was nazywa życie religijne.

Bonaparte i Piłsudski patrzyli na mnie z konsolki i ze ściany. Czako ułańskie mogło być spod Samo-Sierry albo spod Rokitny. Ryngraf chronił zapewne liczne piersi w bitwach całego stulecia. Akcesoria dziejowe, obyczaje i gusty nie zmieniają się w Polsce łatwo. Konstrukcje myślowe nie zmieniają się bodaj wcale. Cóż będzie, myślałem, gdy historia przeciągnie przez ten dwór wraz z ostatnią kolumną piechurów?

Kapitan grzebał żelazem w węglach, podśpiewując. Za oknem krzyczeli krasnoarmiejcy. Przypomniało mi się nagle, że właścicielka dworu rzucała niegdyś bomby na carskich gubernatorów, a w Genewie poznała Lenina. Była to osoba o przeszłości czerwonej oraz wydatnym biuście, na którym kołysał się od święta krzyż Virtuti. Straciła syna w r. 1920.

— Piłsudski źle zdziałał — ocknął mnie głos oficera. Wskazywał pogrzebaczem portret na ścianie. — A i ten nie lepiej! — zaśmiał się na widok biustu zwycięzcy spod Austerlitz. — Wojna i wojna. Ale i z tym koniec. Związek Radziecki przyniesie światu pokój na sto lat! — wydeklamował nagle z palcem podniesionym do góry. Potem wstał i długo oglądał czako oparte na siodle. Widziałem jego szorstką rękę dotykającą srebrnych ułańskich naszyć.

Dziwna i groźna poezja historii dosięgła mnie po raz drugi.

*

Pierwsze miesiące pokoju spędziłem w Krakowie. Wielu moich przyjaciół również osiadło w tym mieście pamiątek. Gdy stoję w pogodny dzień w pokoju zwrócony twarzą na zachód, po lewej ręce mam Wawel, po prawej — Barbakan, przed sobą zaś Kopiec Kościuszki. Kraków jest miastem starych murów. Historia w jakimś momencie wstrzymała tu swój bieg i dlatego być może nazywamy to miasto grodem historycznym. Gdy z przyjaciółmi wyruszam na przechadzkę, wypada nam minąć po drodze kilka wieków przeszłości. Planty sennie owijają śródmieście, zielona kopuła św. Anny błyszczy w styczniowym słońcu, z dala Wawel wzniesiony wysoko ponad teraźniejszość, w przejściu można pogładzić ręką zmurszałe cegły Floriańskiej Bramy; oto dom, w którym mieszkał Skarga, oto inny, w którym zmarł Chłopicki. W krętych ulicach krakowskich nie łatwo znajdziesz wylot poza krąg przeszłości.

Raz, w czasie jakiejś wieczornej włóczęgi, na opustoszałym Rynku wyszło mi na przeciw trzech krasnoarmiejców o kulach. Była już bezludna niemal noc, trzy wieże czarno sięgały chmur, szczudła stukały o bruk. Żołnierze wlekli się w skos Rynku, rzędem, w równych odstępach jeden za drugim, ubrani w dziwaczne długie kitle i białe czapeczki. Była cisza, oni szli w milczeniu, głuchy stukot kijów mijał mnie powoli, gdy przyparty do ściany śledziłem ich, jak podobni do duchów pogrążali się kolejno w cieniach kamienic. Przyszła mi wówczas do głowy nagła myśl, że po roku los poszerzył mi tylko scenę dziwnego widowiska: znów byłem na niej świadkiem spotkania żywej historii z umarłą, znowu musiałem podglądać, jak groźnie posuwa się czas w milczeniu polskich pamiątek.

Wiele przemawia za tym, że wkroczyliśmy na drogę wielkich okazji dziejowych. Byłoby przesadą jednak mniemać, że jest to nasza wyłączna zasługa: wbrew naszej wiedzy, a nieraz mimo naszej woli, nurt historii wdziera się w łożysko naszej egzystencji. Zetknięcie z dynamiką dziejów nie zawsze bywa wygodne osobiście; presja przemian ciśnie jednostki, nie tylko całości społeczne. Uciążliwości, na które narzeka dziś niejeden mieszkaniec Krakowa lub Łodzi, dają się w równej mierze we znaki Francuzom, Anglikom czy Belgom. Są to nieodmienne dole wielkich skrętów dziejowych. Miniona wojna bowiem pozostawiła po sobie nieprzewidziane dobro: wydrążyła, straszliwym co prawda kosztem, przetokę nowym treściom historycznym. Życie jednostki czy był narodu nie od razu wszakże potrafi dogodnie przylgnąć do nowo sklepionych form i łatwo popłynąć w ich korycie. Ale rozsądna interpretacja tych trudności jest obowiązkiem każdego z nas.

Treści polityczne, społeczne i gospodarcze logicznie wytwarzają się w czasie i na pewno nie starczyłoby piasku dla tych, co chcą chować głowy przed żelazną koniecznością ich rozwoju. Żaden fałsz nie zdoła sprawić, aby z historii Polski znikły ślady rewolucyjnych ruchów społecznych. Mimo, że portrety uczestników Gromady Grudziąż nie wiszą nad łóżkami w domach polskich, nurt ich myśli pozostał żywy i żłobił sobie w ciągu stulecia podskórne drogi przewodu. Kołłątaj, Jasiński, Staszic, Mochnacki, Worcell, Dembowski, Mierosławski, Dąbrowski, Waryński — dość było w przeszłości tych antenatów polskiej reformy społecznej, aby dziś móc uspokoić sumienie: to, co się w Polsce dzieje obecnie, ma swe rodzime rodowody i nie jest narzucone z zewnątrz.

Jeśli nie chce się wszakże dostrzec w polskich jakobinach postaci równie godnych historii, jak zdobywcy i wodzowie narodu; jeśli z życia tychże wodzów narodu wymazuje się ich idee społeczne, gdy tchną wolą reform — trudno wówczas uznać zasady, na których dziś odbudowuje się Polska. Ludzie, których nie nauczono widzieć ciągłości prądów postępowych w dziejach Polski, nie mogą dziś pojąć związku ostatnich reform z przeszłością historyczną własnego narodu. I dlatego reformy te wydają im się obce, obce obyczajowo i intelektualnie, wrogie „ewangelicznemu klimatowi ojczyzny", jak pisze „Tygodnik Warszawski". Ludzie ci skłonni są zrzucać odpowiedzialność za trudy powojenne, jakie cierpi Polska wraz z całą Europą, na te właśnie reformy i w nich dopatrywać się przyczyny zła. Fałszywa historiozofia w każdej epoce wydaje swój plon.

Zegarmistrz, z którym spędziłem między Mogielnicą a Nowym Miastem okres po powstaniu, nie jest kontent z reformy rolnej, unarodowienia przemysłu i przyjaźni polsko-radzieckiej. Wyznał mi to, gdy go spotkałem w Warszawie przed gruzami dawnej Poczty Głównej. — Tragedia, panie szanowny, sposobu na życie nie ma. Rujnują kraj. Ludzie podupadli, inni kradną, albo wprost rabują nocami. Spsieliśmy, panie, co się zowie. Inteligencję niszczą. Inżynier, pamięta pan, ten z wąsami, co to w burce biegał, miasto teraz odbudowuje w BOSie. I masz pan, jak odbudował — wskazał ponuro na ruiny Poczty. — Sowieci, panie, nie wychodzą. Jak przyszli wtedy, co to, pamięta pan, na podłodześmy się modlili, tak siedzą i ani rusz. Tragedia, panie... — westchnął i machnął ręką. — A jak interesy? — zagadnąłem współczująco. — Dziękuję, nie narzekam. Zegarków jeszcze troszkę zostało, chociaż to demokracja — szepnął mrużąc oczko. — Handluje się, obraca tym i owym. Jak Bóg da.

Historia toczy się logicznie wśród naiwnych komentarzy. Wierzę, że syn zegarmistrza bę-

STANISŁAW SKONECZNY

Czwarta wiosna

Jak ogród gałęziami wydłuża się w ulice wsi,
czwarta wiosna wydłuża się w wojnę postronkami wisielców,
dla których zamiast trumien
ma koperty grabarz w mundurze brzęczącym orderami
na plamach krwi.

Wieczór zbiera pod murami echa salw egzekucji
w czapkę nocy świecącą srebrną gwiazdą trupiej głowy.
Nad ciszą miast wisi księżyc jak topór.
Wieczór płowy, jak więzień koncentracyjnego obozu,
w pasiaku wojennej wiosny
nie widzi zieleni topól.

Jasny chłopak, który pisał przed wrześniem wiersze,
przechodzi między giełdą i zdradą
z rewolwerem nabitym jak radość
wybuchem śmiechu,
albo jak ręka
wybuchem granatu
między giełdą, zdradą i wiosną.

Bagnet grający melodię zemsty i nienawiści
na gardle pojmanego wroga
pod pachnącymi żywicą drzewami lasu,
będącego niezwyciężonym bastionem Rzeczpospolitej,
jest złotym piórem,
które
notuje zdania pierwsze
w tych dniach
wielkiego poematu.

W partyzance 1943 r.

dzie się kiedyś starszych dopytywał o czasy, w których można było mieć na własność kopalnię, albo las. Przypuszczam również, że będzie więcej wiedział o „Trybunie Ludów" niż moi koledzy z jednej ławy reprezentacyjnego gimnazjum stolicy. Niemniej usilnie chciałbym wierzyć, że współczesne pokolenie zdobędzie się na trzeźwą ocenę naszych stosunków z sąsiadem wschodnim.

Wiem, że nie jest to proste. Polacy są narodem bardziej od innych przywiązanym do przeszłości, z której czerpią najtęższe rezerwy duchowe. W przeszłości dzieliły nas od Rosji pola bitew i wylana na nich krew. Być może, iż w najgłębiej ukrytych pokładach świadomości trwa jeszcze Ostrołęka, walczy Sowiński na Woli. Jest to zapewne pamięć biologii polskiej, którą nie zawsze łatwo wymazać perswazją rozsądku. Wydaje się niewątpliwe, że gdyby w Polsce stosunek do historii caratu **mógł** ukształtować się podobnie, jak w społeczeństwach Francji i Czechosłowacji — sprawa sąsiedztwa ZSRR i pobytu oddziałów Czerwonej Armii na terytorium Rzeczypospolitej nastręczałaby daleko mniej powikłań praktycznych i psychologicznych. Ale tak nie jest. Narody, które nie doświadczyły niewoli caratu, wolne są dziś od jej skutków duchowych i mogą się łatwo zdobyć na równie trzeźwy stosunek do przemian radzieckich, jak my na bezstronną ocenę dokonań Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przeszłość bowiem ma swój realny udział w każdym momencie dziejów.

Nie znaczy to jednak, że emocje i obsesje powinny wpływać na programy polityczne i kształtować wykład historiozofii narodowej. Prowadzi to łatwo do wypaczeń psychiki społecznej, do sprzeczności i dewiacji rozumowych. Jest faktem, że mniej lub bardziej świadomie obciąża się u nas Związek Radziecki całym odium duchowym za rozbiory, bezprawia i zbrodnie caratu — a jednocześnie, ze swobodą absurdu, obarcza się partię bolszewików odpowiedzialnością za odarcie życia z blasków i dostatków, w które obfitowały czasy sprzed Sarajewa. W nieuporządkowanym umyśle zegarmistrza z Nowogrodzkiej czy dentysty z Saskiej Kępy Rosja Sowiecka ponosi winę za zło systemu, **który** obaliła, i za to, **że** go obaliła; za to również, **jak** go obaliła. Ponadto zegarmistrz cierpi wewnętrznie nad zamianą dawnych kresów wschodnich na obecne ziemie zachodnie i uważa to za czwarty rozbiór Polski. Ma również za złe Stalinowi, że Kościuszko został wzięty do niewoli pod Maciejowicami.

Obcość reform socjalnych? Nie obawiajmy się. Uzasadnia je w pełni nasza własna przeszłość i teraźniejszość — nie cudza. Polski Sejm Czteroletni zaczął był swe obrady na rok przed zburzeniem Bastylii i przyniósł demokratyczną konstytucję przed ścięciem ostatniego Capeta. Postępowa myśl społeczna w Polsce posiada swój własny ciąg rozwojowy i ponad wszelką wątpliwość mamy prawo uważać przemiany bieżącego okresu za dalsze jego ogniwa. Tworzymy polską demokrację ludową. Będzie ona o tyle odmienna od innych ustrojów na świecie, o ile przeszłość Polski odmienna jest od przeszłości innych narodów. Stwierdźmy raz jeszcze bowiem, że rozwój historyczny narodu ma swój udział w każdym momencie dziejów. Wytwarza swoiste treści społeczno-gospodarcze, które wszelka reforma musi mieć na względzie.

Z odmętów wojny wkroczyliśmy na szlak nowych szans dziejowych. Możemy pomyślnie rozstrzygnąć grę o silną pozycję w Europie — zależy to od naszej pracy i rozsądku. Nie zagraża nam wroga presja z zewnątrz, ani obcy ucisk ideologiczny. Jest jasne, że Związek Radziecki nie kontynuuje zaborczości systemu carskiego w stosunku do Polski, gdyż dał niejeden dowód, jak dalece z systemem tym zerwał. ZSRR jest najambitniejszym wytworem państwowej organizacji, bo zbudowanym na zasadach konstruktywnej myśli ludzkiej, równie obcej i sprzecznej z dawną praktyką caratu, jak z systemem politycznym bismarckowskich Niemiec i Austrii Metternicha. Pobyt oddziałów sowieckich na terenie Polski, z którym wiążą się pewne uciążliwości dla kraju, nie jest podyktowany chęcią zaborów, lecz wynika z przejściowego układu sił politycznych w Europie. ZSRR okupuje Niemcy podobnie jak Ameryka i Anglia; sowieckie oddziały etapowe muszą przebywać na terytorium Polski, podobnie jak anglosaskie na terenie Francji, Belgii i Holandii. Leżymy na bezpośredniej trasie Moskwa—Berlin. Byłoby więc nierozsądne i szkodliwe utożsamiać gwałty rozkiełznanego wojną żołnierza, czy rabunki maruderskich band — zresztą coraz rzadsze — z linią polityczną państwa, z którym łączy nas sojusz, trzeźwy interes i wspólna czujność przed wrogiem.

Sto lat pokoju, które wedle słów oficera z Kaługi Związek Radziecki ma zapewnić światu, to nie tylko retoryka. W interesie ZSRR leży trwały pokój na obu półkulach. Jest on równie ważny dla przyszłości Polski. Łączy nas sprawa pokoju. Łączyły nas sprawy wojny. Nie powinna dzielić nas przeszłość, w której lud polski i ludy radzieckie cierpiały tę samą niewolę. Dlatego rozsądek i bezstronna wola pozwalają mi wziąć całą odpowiedzialność sumienia za powyższe słowa, które piszę dziś — w rocznicę mego pierwszego spotkania z armią narodów radzieckich.

Kazimierz Brandys

TADEUSZ DOBROWOLSKI

Jedna z wielu nocy*)

Wtłoczony między współwięźniów siedziałem na ławie odwrócony tyłem do stołu, żeby dać odpoczynek plecom przez ich oparcie o jego wąską krawędź. Byłem zmęczony trzema od rana apelami, maszerowaniem w piątkach po śniegiem przysypanych uliczkach obozowych w takt odmierzanych melodycznie słów przodownika „ein, zwo, dra, vier, ein, zwo, dra, vier", zmęczony tym samym dzień w dzień cyklem wzrokowych wrażeń. Wciąż miałem w oczach podwójne szeregi baraków z miniaturowymi, pagodami wentylatorów na dachach, zasieki druciane przymurza, kubiczne wieże strażnicze z wymierzonymi na obóz lufami maszynowych karabinów. Rysował się w mej świadomości plac apelowy, pokryty wzdłuż czworobokami pasiastych, biało-niebieskich postaci, przemieszanych z szarymi sylwetami więźniów odzianych w stare żołnierskie mundury, widziałem chude za murem sosny, które na tle mroźnego, błękitnego nieba budziły wizję japońskiego drzeworytu. Barak natłoczony ludźmi, mokra od błota podłoga, zdeptana butami stu kilkudziesięciu mieszkańców, wyziewy chorych i niedomytych ciał zestrajały się w akord duszny i zgoła obmierzły, jaki kojarzył się ze wspomnieniem zaniedbanej poczekalni kolejowej, o tyle osobliwej, że służącej za stałe mieszkanie.

Oczy kleiły się do snu, pociechą była mi nadzieja, że za pół godziny wpędzi nas „izbowy" (Stubealteste) do sypialni (Schlafraumu), że rozbiorę się do kalesonów w mroźnym klimacie z cienkich desek zbudowanej hali, że zwinięte w wałek spodnie podłożę pod głowę wsuwając równocześnie w ich otwór ostrzyżoną i zziębniętą czaszkę, że będę leżał wbity jak klin między dwa ciała sąsiednie, uprzykrzone, a jednocześnie pożądane ze względu na ich własności termiczne. Wciśnięty w wąską i twardą szczelinę między ciałami towarzyszy, leżałem zazwyczaj w tych pierwszych minutach spoczynku na przykrótkim sienniku z twarzą zwróconą ku mrocznym wiązaniom dachowym i rekonstruowałem w myśli sentymentalne doświadczenia lat dawnych, tropionych maniacko z dzisiejszego „dna nędzy". Lubiłem te chwile pozornego spokoju — i jak zawsze, oczekiwałem ich nadejścia z pewną niecierpliwością. Niestety, nadchodząca noc gotowała sensacje inne od oczekiwanych.

W grupie więźniów skupionych przy drzwiach baraku uderzyły mnie w pewnej chwili nieomylne, choć słabo uchwytne symptomy niepokoju. Rozpoznałem wśród obecnych jednego z obozowych gońców w płaskiej, marynarskiej czapce. Padały pytania i odpowiedzi, psychiczna temperatura baraku uległa momentalnej odmianie. Tak dobrze mi znany z praktyki więziennej stan nerwowego podniecenia ogarnął wszystkich, jak zaraza. Mdły posmak w ustach i lęk w połączeniu z uczuciem pustki umiejscowionej w okolicy serca czy żołądka towarzyszyły wszelkim odchyleniom od powszedniej normy obozowego istnienia. Zmiana nie była bowiem nigdy zapowiedzią poprawy losu, przeciwnie, prawie zawsze niosła nową formę udręki. Powtarzający się skurcz lęku wyczerpywał tak bardzo jeszcze dlatego, że nie zawsze był proporcjonalny do przyczyny, która dopiero z czasem się wyjaśniała, żeby niekiedy przynieść coś w rodzaju odprężenia. W pierwszej chwili potencjał strachu był zawsze jednaki, bo zawsze groziło najgorsze, z tym, że nie zawsze to najgorsze się stawało. I tym razem dowiedziałem się tylko, że część mieszkańców baraku uda się na skrobanie ziemniaków.

Byłem śpiący i bardzo zmęczony. Marzyłem o swojej połowie siennika. Próbowałem uniknąć całonocnej pracy. Nerwy stale napięte za dnia domagały się odpoczynku. Tłumaczyłem izbowemu, że jestem chory, że mam gorączkę, że pójdę innym razem. Proponowałem jakiemuś Niemcowi dwie marki za zastępstwo. Nie udało się. Za kilka minut, z nożem stołowym w ręku (wyjętym ze „szpindy"-szafki) stałem wraz z innymi przed barakiem na śniegu fosforyzującym od świateł księżycowej nocy. Niebo było zasypane kurzawą zimnych gwiazd. Na ziemi czerwieniły się z rzadka ogniki papierosów. Był mróz jak wszyscy diabli (od miesiąca termometr wykazywał około, albo poniżej 20 stopni). Czuło się jego bezpośredni atak poprzez lekką bluzę i podartą koszulę. Jak zawsze, zaczęto nas ustawiać w piątki. Manewrowałem tak, żeby znaleźć się w pierwszych szeregach; powiodło mi się połowicznie, bo odtrącono mię do czwartego a może piątego. Inni bowiem wybiegli z baraku wcześniej, przez co zdołali mnie wyprzedzić. Tracili na tym o tyle, że stali na mrozie od kilku minut dłużej, zyskiwali dzięki opanowaniu pierwszych szeregów. A „załapanie" odpowiednich rzędów nie było sprawą obojętną. Na apelach lepiej było stać w szeregu środkowym zdala od esesów plączących się przed i za oddziałem, — wydawało się przy tym, że w pośrodku grupy jest trochę cieplej, bo przednie i tylne szeregi chronią nieco od wiatru. Przeświadczenie to było zapewne oparte na fikcji, ale tworzenie fikcyj poprawiało nieraz samowiedzę. W obecnym przypadku rachunek logiczny przedstawiał się inaczej: ci, którzy znajdą się na początku oddziału, wcześniej miną drzwi kuchennego budynku i wcześniej zbiegną do piwnicy, co umożliwi im pozyskanie lepszych miejsc, bo mniej narażonych na kontrolę, chyba, że grupy z innych baraków zdołały już nas wyprzedzić.

Te drobne i błahe na pozór zabiegi należały do normalnych funkcyj obozowego istnienia, jako wyraz ustawicznej walki o życie. Żeby przetrwać, należało być uważnym i chytrym jak Indianin, który docenia znaczenie drobiazgów. Już w pierwszych chwilach naszego pobytu w obozie poinformowali nas starsi więźniowie, że trzeba „pracować oczyma i uszyma", bo stałe ocieranie się o śmierć stanie się sprawą powszednią. Trzeba się będzie jej wymykać, trzeba ją będzie oszukiwać, trzeba będzie unikać starcia się z nią wręcz, bo walka jest nierówna i prowadzi do klęski. Że mieli rację, pouczyły nas pierwsze doświadczenia na terenie obozu. W kilka dni po naszym przyjeździe do Sachsenhausen zwierzał mi się śp. Adam Heydel: „mijałem barak, z jego cienia wyłoniła się nagle zielona ręka trupa; światło reflektorów dochodziło właśnie do tego miejsca; stąd nagłość zjawiska. Dopiero po chwili ogarnąłem całość; dwóch więźniów niosło trzeciego i to jego wyschnięta dłoń wsunęła się pierwsza w krąg światła". Z czasem przyzwyczailiśmy się do tego jakże zwykłego obrazu. Ponieważ w apelu musieli brać udział wszyscy z wyjątkiem leżących w „rewirze" (obozowym szpitalu), nosiło się na apele ciężko chorych mieszkańców baraku. Zdarzało się, że jakiś silniejszy więzień dźwigał sam jeden towarzysza, zawieszonego jak worek na plecach, częściej niosło chorego dwóch, podtrzymując jego przełamane ciało przy barkach i kolanach, dzięki czemu układ takiej grupy przywodził na pamięć popularny w ikonografii chrześcijańskiej motyw „Złożenia do grobu".

Po sformowaniu się oddziału „der Kartoffelscheller" ruszyliśmy ku pobliskiemu celowi. Minęliśmy drzwi długiego murowanego baraku kuchni, przez mgnienie zalśniły mi w oczach błyszczące kotły zmechanizowanej kuchni, w kaflowych basenach dostrzegłem białe, kanciaste kule oskrobanych ziemniaków; po wąskich, stromych schodach zbiegłem do długiej, podziemnej kazamaty i prawie pędem ruszyłem w kierunku jej końcowej części, żeby być jak najdalej od drzwi i grożących nam oczu dozorców. Z tupotem mych niezdarnych butów łączył się tupot biegnących koło mnie towarzyszy. Dobiegłem do ostatniego, odgiętego w prawo skrzydła ubikacji. Jeden rzut oka i stwierdzenie, że wszystkie ławy już zajęte. Powtórny, dodatkowy przegląd ław i korekta pierwszego wrażenia: koniec jednej ławki jeszcze wolny. Usiadłem na tym wąskim cyplu, który dawał oparcie tylko dla połowy ciała. W tej pozycji przesiedziałem do rana. Przyciśnięty do swego sąsiada (żeby nie spaść z ławy), z trudnością manewrowałem nożem przy obieraniu ziemniaków tym więcej, że ów towarzysz niedoli, w cywilu komisjoner, niezadowolony ze zbyt bliskiego sąsiedztwa, co pewien czas rozsiadał się szerzej, próbując mnie „wymanewrować" poza obręb ławy. Przed nami stały długie koryta z wodą, jakieś beczki i wiadra z ziemniakami, które wciąż donoszono w miarę postępu pracy. Skrobanie nie było rzeczą łatwą. Nóż był tępy a ziemniaki bezpośrednio dowożone z kopców zmarznięte i oblepione ziemią, która w cieple piwnicznym przemieniała się w zimne, gęste błoto. Przed rozpoczęciem skrobania próbowałem więc zanurzyć naprzód szarą bulwę w stojącej obok kadzi z wodą, celem usunięcia błota. Na to warknął siedzący obok mnie gorliwy Niemiec, że to surowo wzbronione, bo w wodzie ziemniaki się płucze po oskrobaniu. Musiałem więc zrezygnować z tej próby. W czasie pracy wilgotne, zimne błocko spływało za rękawy, ręce stale wilgotne, oblepione błotem marzły coraz bardziej i siniały od ustawicznego obejmowania kartofli, przesyconych lodowatym ziąbem. Brudne, lepkie obierzyny zaścielały warstwami kamienną posadzkę, z lekka chlupotała woda, poruszana rytmicznie spadaniem obranych ziemniaków, zwolna opróżniały się wiadra z surowcem a wypełniały się kadzie i koryta żółtawym półfabrykatem. Współwięźniowie donosili nowe wiadra i skrzynie ziemniaków, inni wyławiali oskrobane kartofle i znikali wraz z nimi w mrocznej dali piwnicznej, zasnutej wilgotnym oparem a wypełnionej słodkawym odorem obierzyn. Pochylone, pozbawione oparcia plecy bolały nieznośnie, oczy piekły i przymykały się sennie, automatyczne ruchy rąk zagęszczały mętną smugę nudy, rozciąganą przez mijające wolno, bardzo wolno minuty, kwadranse, godziny. Przed oczyma wciąż ten sam widok zmechanizowanych ruchów, powtarzanych przez głębokie szeregi ginących w mglistym oparze niewolników, brudna czerwień cegieł, szarość pocących się tynków przeciętych rurami kuchennych grzejników, krążki słabych żarówek u stropu. W uszach wciąż ten sam plusk wody, domyślny raczej szmer wilgotnych kropel spadających z powały, cichy jednostajny gwar rozmów, odgłosy kroków tych, którzy byli łącznikami między skrobaczami, kuchnią i składem ziemniaków.

Celem przyśpieszenia wlokących się godzin próbuje się rozmawiać, ale rozmowy się rwą, bo jest się zbyt śpiącym i znużonym. Siedzący obok mnie na sąsiedniej ławie publicysta Oertsen opowiada mi o swym przyjacielu Maksie Liebermannie, o jego berlińskim mieszkaniu w pobliżu brandenburskiej bramy, o tym, że ostatnio widział jego słoneczny obraz „Malwy". Próbuje go opisywać. Słucham niechętnie, bo relacje z „tamtego świata" konfrontowane z czasem obecnym zdają się już nie mieć żadnego znaczenia, wydają się nieprawdopodobne i zbędne. Zresztą w świetle opisu obraz wydaje mi się dość banalnym „knotem". Powieki kleją się coraz bardziej, oczy pieką, zmęczenie zatruwa organizm, mięśnie bolą. Coraz częściej padają pytania, która godzina? Podobno czwarta. Powolnym krokiem przechodzi przez halę esesman. Sprawia wrażenie znudzonego jak my, patrzy w naszą stronę szklistymi, niewidzącymi oczyma. Nasze ręce wykonują przyśpieszone ruchy, markujemy gorliwość: ziemniaki w szybszym tempie i z głośniejszym chlupotem wpadają do kadzi. Odwraca się, odchodzi. Jednak lepiej siedzieć przy końcu podziemia, bo nie każdemu chce się dojść do ław ostatnich. Mija pół godziny. Tempo pracy maleje wyraźnie. Więźniowie zdemoralizowani dusznym ciepłem piwnicy, głodni i zmordowani, zapominają naraz o swych obowiązkach. Niektórzy zaczynają włóczyć się po piwnicy w poszukiwaniu jedzenia. Nawiązują kontakty z grupą skrobaczy, krających za jakimś przepierzeniem brukiew. Ktoś mnie częstuje. Odmawiam, bo w obozie grasuje biegunka. Brukiew kraje się na plasterki i przypieka na grzejnikowej rurze. W jakimś kącie szmer rozmów przybiera na sile, padają coraz głośniejsze i mocniejsze wyrazy, podnosi się wyraźnie temperatura dyskusji, dochodzi do kłótni (podobno ktoś komuś zjadł kawałek właśnie podgrzewanej brukwi). Brzmienia słowne nabierają histerycznej nutki, dwóch osobników rzuca się wreszcie na siebie, wymieniają wzajemne ciosy, jednemu z nich cieknie krew z nosa czy rozoranego policzka. Z końca hali dochodzi rozjuszony ryk Willego.

Marynarz Willi, obecnie więzień w biało-niebieskim pasiaku i płaskiej marynarskiej czapce, pełni funkcje głównego nadzorcy skrobaczy kartofli — a piwniczne podziemie, nawiedzane przez nas raczej z rzadka, stanowi miejsce jego stałego pobytu i domenę władzy chyba absolutnej. W praktyce bowiem Willi posiada prawo życia i śmierci nad więźniami, podobnie jak w barakach mieszkalnych starsi izbowi. Willi stanowi imponujący okaz swojego gatunku. Ogromny, młody blondyn z potężnymi barami atlety i małą głową o rzymskim profilu, osadzoną na mocnej, foremnie utoczonej szyi, nadaje się na prototyp antycznego posągu. Posąg ten na podobieństwo śpiewającego posągu Memnona wyrzuca z siebie nieoczekiwane dźwięki. Nie mówi, lecz ryczy. Jest to ryk nieprawdopodobny i bardzo trudny do zdefiniowania, przy tym do tego stopnia niezharmonizowany z człowiekiem, że wydaje się, iż Willi otwiera tylko usta i markuje, a ktoś wrzeszczy za niego. Potężny ryk przypomina przetaczanie się gromu, lecz bez jego głębokiej barwy; brzmi głucho i basowo, a równocześnie jest chropawy, drewniany i suchy. Jak ruchoma wieża zbliża się Willi kołysząc się zwolna na podobieństwo goryla. Zapada cisza, przerywana pomrukiem rozdrażnionej bestii. Podchodząc do niedawnych zapaśników wyrzuca z siebie kilka słów-ryków i jednego z nich ogarnia ramieniem. Następuje kilka błyskawicznych chwytów, na skutek czego delikwent przechodzi w odwróconą pozycję pionową zwisając z szerokich łap pogromcy głową na dół. Willi trzyma go za nogi przy kostkach i posługuje się nim jak stęporem. Szybkim i miarowym ruchem podnosi ów żywy tłuk i opuszcza na ziemię przy wtórze zduszonych, urywanych jęków. Wypuszcza wreszcie z rąk swoją ofiarę; jej twarz zatraciła cechy ludzkie a stała się lepką maską, ukształtowaną z błota, krwi i obierzyn. — Jeszcze raz tej nocy widziałem Willego, ale już z dalsza, kiedy unosił z kazamaty więźnia, który pod jego pachą wił się jak bezsilny robak. Ktoś mi wówczas wyjaśniał, że ten apolliński osiłek wynosi skazanych przez siebie do sąsiedniej ubikacji, rzuca ich na stół i sprawia z kolei bykowcem.

Po tym swoistym interludium, kiedy atmosfera grozy uległa rozrzedzeniu, zmęczenie ujawniło się w jeszcze silniejszej postaci niż dotychczas. Napięcie nerwowe i jego nieuniknione spadek przyspieszyły proces utraty sił. Coraz wolniej odbywało się skrobanie ziemniaków. Ponieważ na pytanie, jak długo po-

*) Szkic ten jest próbą rekonstrukcji jednego z rozdziałów pamiętnika, który spłonął w czasie bitwy o Kraków w styczniu ub. roku. Pamiętnik ów napisałem bezpośrednio po powrocie z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, dokąd mnie wywieziono w listopadzie 1939 r. wraz z innymi profesorami, docentami i asystentami Uniwersytetu Jagiellońskiego.

trwa praca, otrzymałem odpowiedź, że aż do obrania wszystkich ziemniaków na tę noc zwiezionych, podniosłem puste wiadro i w ślad za innymi udałem się do mniejszej piwnicy, w której przechowywano owe płody ziemi. Z przerażeniem stwierdziłem, że wymieszane z błotnistą słomą szare grudy tworzą jeszcze istne usypiska. Zajrzałem do sąsiedniej ubikacji — i cofnąłem się czym prędzej. Na szczycie kopca kartofli stał dumny z siebie matołek nie wiele większy od dziecka i z kretyńskim uśmiechem na starczej twarzy walił batem pochylonych więźniów, zgarniających pospiesznie ziemniaki do naczyń. Jak się dowiedziałem, sprawował on funkcję oficjalną, której zadaniem było usprawnienie pracy. Wróciłem prawie złamany nie ciosem bata, lecz złowróżbnym wyglądem zwałów ziemniaczanych. Wolno i automatycznie skrobałem ziemniaki, błoto sączyło się w rękawy, obierzyny pogrubiały wilgotną i śliską pokrywę, jaka przysłaniała kamienne flizy posadzki. Ręce pracowały jak zwolniony choć wciąż jeszcze na zasadzie prawa bezwładności funkcjonujący mechanizm.

Nagle, bez zapowiednich znaków, dowiaduję się, że koniec. Spostrzegam, że niepoliczone ręce przestają się okręcać wokół ziemniaczanych orbit. Zanurzam czarne z błota dłonie w jakiejś kadzi, wycieram je w gazetę ukrytą (wbrew regulaminowi) pod bluzą, z kolei w spodnie, prostuję się z ulgą..., wizja siennika zarysowuje się w konkretnym kształcie. Pospiesznie pracują miotły, zgarnia się obierzyny i wynosi. I znowu nieprzewidziane interludium. Tadeusz Milewski, docent filologii słowiańskiej nie może znaleźć czapki. Ktoś mu ją ukradł. W jego enuncjacjach na ten temat pobrzmiewa nuta prawdziwej rozpaczy. Nic dziwnego, bo utrata czapki, owego koniecznego nakrycia głowy, uszytego z pasiastej materii i przypominającego krojem kucharską czapkę — grozi karą, a kara w pewnych okolicznościach może wieść do katastrofy. Tym razem przygoda kończy się szczęśliwie, bo za chwilę widzę ofiarę grabieży w naddartej czapce marynarskiego kroju. Za kilka marek ktoś mu jej dostarczył.

Dochodzi godzina 5.30. Niebo wciąż jest czarne. Gwiezdna kurzawa błyszczy jednakże słabiej niż na początku tej nocy. Wracamy do baraku. Wchodzimy naprzód do „Wohnraumu", w którym nocuje tylko więzienna starszyzna. Budzi się zastępca izbowego „der lange Peter" z zawodu podobno przemytnik. Wpada w szał, z jego bełkotu wynika, że stuk naszych butów wyrwał go ze snu, który sam określił raz jako „nadzwyczaj delikatny". Długim susem skacze Długi Piotr na stół i wrzeszcząc histerycznie zaczyna nas bombardować czym popadnie. Koło mnie przelatuje masywny stołek, jak się zdaje jedyny w baraku. Skradając się ostrożnie wymijam szalejącego na stole furiata, odsuwam koc zawieszony u wejścia i potykając się o nogi leżących trafiam na swój siennik. Walę się jak kłoda i nakrywam derkami. Jestem śmiertelnie zmęczony. Ale do odpoczynku daleko. Po upływie kwadransa zrywa mię z siennika głos izbowego. Trzeba wstać, żeby stawić się na rannym apelu i obnażyć ślady zmęczenia w jaskrawym świetle wycelowanych w naszą stronę reflektorów. Temperatura wynosi około 20° poniżej zera. Po całonocnej pracy odczuwam mróz dotkliwiej niż zwykle.

Tadeusz Dobrowolski

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Po wiekach nad prochami Winety

Orszak ruszył z Kamienia, grodu leżącego u kresu nowych granic i poprzez osadę Dziwną przetoczył się na wyspę, na pierwszą wyspę, na kawałek ziemi, trącącej oceanem. Od tysiąclecia nie mieliśmy łączności z wyspą, chyba w fikcji, w powieści. Toteż pierwsze spojrzenie na bezmiary wód, na zatoki, na odnogi, na szerzawę morza Pomorskiego przejęło nas jakimś wewnętrznym dreszczem.

Jeszcze kilkanaście kilometrów autem i dotrzemy do Zatoki Szczecińskiej, do rozlewiska, które przyjmuje w swą głębię to, co na przestrzeni setek mil nazywa się polską, słowiańską rzeką Odrą. Jedziemy wzdłuż odnogi wschodniej, zwanej tak dziwnie „Dziwną". Druga jest archaicznie prosta, homerycka, odysseuszowska, nazywa się „Świnia". Ryje się wśród lądowisk z zatoki ku morzu, żłobiąc sobie przejście jak stworzenie nierogate w moczarowym grzązie. Zachodnia dostała nazwę wcale poetycką, lekką, zwiewną, zefirową, zwie się bowiem „Piana". Piana, Świnia, Dziwna — cała gama wartościowań i doznań psychicznych, utrwalonych od zamierzchłych wieków, drogich, bo słowiańskich, pięknych, chociaż świńskich.

Widać na wzniesionym cyplu południowowschodnim wyspy cel podróży, gród stołeczny, który odegrał wielką rolę w dziejach Słowian na północy. Widać Wołyń, kapryśne w nazwach miasto, bo do niego w ciągu wieków stosuje się i Julin, znany z żywociarzy św. Ottona z Bambergu XII wieku, z czasów Krzywoustego. Adam Bremeński w kronice wychwala je jako Jumme, co stanowi zniekształcenie nazwy Jomsborg, powtarzanej w Jomswikingasaga. Co zaś najważniejsze, ten gród u pisarzy innych, historyków północno-środkowej Europy, np. u Helmolda, nosi nazwę Vineta, co oznacza „Gród Słowiański". Wendami bowiem nazywali pisarze germańscy i dalej od nich na zachodzie żyjący kronikarze właśnie — Słowian. Wendyjski, wenedyjski — to po prostu słowiański, prawie polski.

Wineta — to ten sam źródłosłów co Wanda, płowowłosa słowiańska kobieta, dziwnym trafem upamiętniona jako księżniczka na południu pośród Wiślan. Wanda, Lilla Weneda, Wendowie, Słowianie, wszystko to wiąże się w nierozerwalną całość z Winetą, dzisiejszym grodem Wołyniem na wyspie Wołyń i stanowi tajemniczy dźwięk, który nam otwiera wgląd w dzieje Słowiańszczyzny sprzed tysiąca lat.

Pomorze Zachodnie przyniosło nam trzy królewskie dary: morze, puszcze leśne pełne jezior i symbole, symbole, którym na imię: Szczecin, Kołobrzeg, Arkona i Wineta. Nie ma kor mózgowych w Polsce i krwionośnych naczyń, które na zew tych zawołań czterech nie zmieniłyby natężeń pulsu. Szczecin to siedziba książąt z zapomnianej linii Piastów, ojczyzna polonofilskich władców i wytwornych mecenasów sztuki. Kołobrzeg przypomina raid ruchliwego księcia, syna Hermanowego, co forsował na czele swoich wojów rzekę Prośnicę i brał łupy z nadmorskiego grodu słynnego z soli i rybich połowów. Arkona w dwunastym wieku, przez krótki okres czasu, wybijała się istotnie na czoło organizmów państwowych słowiańskich na północy, lecz od r. 1168, kiedy Waldemar duński i biskup Absalon z Roskilde ją zwyciężyli i zniszczyli, przeszła do legendy.

Wineta, odwrotnie, przez szereg stuleci trzymała prym wśród wszystkich grodów Słowian na północy. Była nie tylko grodem, zamkiem drewnianym, umocnieniem na wzgórzu, lecz wielkim miastem słowiańskim, o wiele większym niż to, co dziś z niego zostało. Ciągnęła się na 5 km wzdłuż odnogi Dziwnej. Miała port, gdzie mogło mieścić się 360 okrętów typu wikińskiego. Górowała nad Szczecinem, który jest o wiele młodszy od Winety.

— Jest to największe z miast na krańcach Europy, zamieszkałych przez Słowian i inne ludy, jak Greków (Rusinów) i barbarzyńców. Nawet Sasi otrzymują równe z nimi prawo zamieszkania, jednak pod warunkiem niewyznawania publicznie chrześcijaństwa. Cała ta ludność błądzi w obrzędach pogańskich, ale poza tym nie znajdziesz ludu, który by był zacniejszy i łagodniejszy obyczajem i gościnnością. Neptun tamtejszy (morze) ma naturę potrójną. Wyspę tę bowiem opływają trzy cieśniny, z których jedna jest zawsze koloru zielonego, druga prawie biała, trzecia — groźna i zawsze wzburzona — oto co mówi Helmold w XII wieku o Winecie.

Jakże się to stało, że tu, właśnie tu powstało takie ważne centrum handlowe, czysto słowiańskie, skupiające handel z dalekiej Rusi i portów morza Śródziemnego? Przyciągające Sasów, Skandynawów, Greków ruchliwością, zasobnością, sławą?

Rozważając sytuację terenów nadbałtyckich po wędrówce ludów, snadno wyrozumieć, że tereny zaludniły się rojno Słowianami, którzy mając właściwe sobie instynktowne wyczucie zalet topograficznych wyspy, założyli na niej swój handlowy punkt, rozrastający się z biegiem czasu w pierwszorzędny port i ludne miasto. Od wieku VII szedł ten rozwój grodu i przystani wenedyjskiej. Dla postronnych, dla kupców Południa i Europy Zachodniej, zwał się punkt ten z prosta grodem Wenedów, Winetą.

W r. 1935 rozkopali Niemcy gród ten z lat zamierzchłych i pod warstwą 4—6 metrów odnaleźli belkowanie chat, dyle ulic, zgliszcza spalonej centrali handlowej na słowiańskiej Północy. Znaleziska z dziedziny budownictwa, strojów, przedmiotów zbytku udowodniły, że mieszkańcy grodu, Słowianie, nasi praszczurowie, poprzednicy we władaniu wyspą, cieszyli się niepomierną zamożnością, pozwalającą im na niecodzienny luksus.

Ze znalezisk wynika, że mieszkańcy Winety trudnili się żeglugą i handlem ciągnąc bez wątpienia wielkie zyski z tych zajęć. Bursztyn i korsarstwo były także źródłem dochodu.

Wykopaliska niemieckie dotyczące Winety, dokonane w r. 1935, były wydarzeniem tej miary co odkrycie w torfowiskach jeziora żnińskiego osady bagiennej Biskupina, z tą różnicą, że o Biskupinie brak przekazów historycznych: o Winecie przekazy te istnieją i dowodzą, że na ówczesne stosunki, na średniowiecze wczesne, na koniec starożytności nawet, miasto to, gród Wendów, był tym, czym w kolei wieków okazał się Amsterdam, Liverpool, Haga albo Londyn, a już bez przesady żadnej tym, co w wieku XIV porty Hanzy. Za czasów króla Alfreda Wielkiego (871—901) obok Haithabu i Truso, oglądanych przez żeglarza anglo-saskiego Wulfstana, była Wineta najważniejszą pozycją handlową na Bałtyku.

Przyjeżdżali w 1935 r. polscy historycy z Poznania do Winety, zasłużeni znawcy Słowiańszczyzny — Kostrzewski, Tymieniecki, Wojciechowski, Koczy, Widajewicz. Widajewicz był tym, który zagadkę wieku XIX odnośnie legendarnej Winety świetnie rozwiązał umiejscowiając Winetę właśnie w Wolinie, bo ta Atlantyda słowiańskiej Północy rozpłynęła była się w legendach, w opowieściach o zatopionym mieście, o dzwonach bijących w czas spokojnej fali z głębi morza, o spiżowych bramach, śniących na dnie głębin.

Uczeni polscy 1935-go r. z smętkiem patrzyli na to cmentarzysko odkopanych śladów Słowiańszczyzny. Nasza gromada wjeżdża dumnie do praojcowego grodu i zawiesza sztandar w dawnej metropolii kupców-pobratymców. Z ratusza, dzisiaj zniszczonego, zatrzepotała flaga z orłem.

Stajemy na wzniesieniu, na Srebrzystej Górze, która od północy stanowiła bastion obronny bogatego miasta, wzbraniając wrogom wjazdu poprzez Dziwną od strony morza, skąd zwykły następować grabieżcze ataki obcoplemiennych piratów. Widać przez zalewy miasto Lubin na zachodzie, Międzyzdroje od północy i wzniesienia brzegu bałtyckiego. Nieprzejrzane lasy zalegają wyspę, wyspę naszą: wkroczyliśmy do Winety, objęliśmy we władanie gród sprzed tysiąclecia, miasto starsze niż monarchia Karolowa, niż Piastowie.

Pisał Ibrahim ibn Jakub za Ottona I, że gród Awbaba na północo-zachód graniczył z władztwem potężnego Mieszka; ustrój miał silny i bój toczył z Polanami.

Prawdę podał stary kupiec z Południa. Miecz zaborczy Mieszka sięgał po gród Wendów na wołyńskiej wyspie. Pobił ich i wcielił do zespołu szczepów swego państwa. Chrobry stan utrzymał po swym ojcu.

Jeśli gród Wenedów był portem handlowym od wędrówek ludów aż po świt historii, to za Piastów, w wieku X i XI, już pod nazwą Jumne-Jomsborg, ześrodkował wysiłki paru państw, które po niego wyciągały dłonie; Piastowie, Dania, Szwecja i Norwegia krzyżowały tu swój oręż.

Tylko lat 60 miał przewagę Duńczyk, od 935—1043. Gród przemienił w nazwie, Słowian podbił, ustanowił zakon. Wodzem tych swego rodzaju rycerzy związkowych był Palnatoki. Po nim królewicz Norwegii, Olaw Trygwason, hołdujący książętom Polan. Za to, że Jomsborg przeszedł na służbę Polan, zburzyli Duńczycy w r. 1043 Jomsborg doszczętnie. Odtąd nazwa Wołyń zepchnęła w cień nazwę Jomsborg, tak jak poprzednio nazwa wikingowska została narzucona prastaremu grodowi Słowian, nazwanemu Wineta.

Wineta staje się za czasów Jomsborczyków ośrodkiem związków Polski ze Skandynawią. Najważniejszym wydarzeniem w tym względzie było małżeństwo Świętosławy, córki Mieszka I, siostry Bolesława Chrobrego, z królem szwedzkim, Erykiem Zwycięskim, potem ze Swenem duńskim, któremu urodziła syna Kanuta Wielkiego, władcę Danii i Anglii. Niezwykła ta kobieta stała się tematem legend i opowiadań w sagach skandynawskich. Figuruje w nich jako Sygryda Storrada, Sygryda Wyniosła, jako Gunhilda, Astryda, Geire. Charakter jej łączył się przedziwnie ze środowiskiem właśnie grodu słowiańskiego, Winety.

Jeszcze Krzywousty jest w Winecie władcą, suwerenem. Z jego ręki w mieście, zwanym obecnie Wolin-Julin, głosi ewangelię Otto z Bambergu, zatrzaskujący kamień grobowy nad pogańską słowiańskością grodu.

Dzisiaj do Winety wraca dawny oddech: wzdycha miasto pod warstwami ziemi, prężą się powały chat zmurszałych w grodzie, kość i rogi szumieć zaczynają w głębi prochów, 10 000 Wendów rusza się w żalnikach: bracia przyjechali, mowę rozumieją, którą mówią ci znad Warty i Noteci. Tętno krwi się budzi, co przed tysiącleciem biło im w tętnicy, krzyczą: Wineta, Wineta, dawną nam przywróćcie nazwę, łodzie nam przywiedźcie, straż roztoczcie zbrojną! Wypłyniemy z wami znów na morze, na wendyjskie, na bałtyckie, hasłem będzie nam bóg Trygław, bóg Winety!

Do uszu Rzeczypospolitej bije zew Winety, zakopanej przed lat tysiącem w zwilgotniałych piaskach nad brzegami polskiej rzeki Dziwnej.

Zew ten usłyszał orszak, wysłany dla włączenia wendyjskiej wyspy do dziedzictwa Polan.

Zatknięto stanicę. Wypisano: Rok 1945, Wineta.

Stanisław Helsztyński

Z POEZJI CZESKIEJ

OTOKAR FISCHER

Z pogrzebów europejskich

Nie byłem nigdy w Madrycie. Aż dziś,
Gdy już Madrytem być przestaje. Ponoć
Umierający ukaże się temu,
Kto za nim tęsknił. Ileż razy-m szedł
przez de Alcala bramę, ileż razy
widziałem owe uliczki, którymi
don Juan w masce skradał się — i w snach
pieściły mnie te czarujące nazwy
jak virgen de la Soletad, jak Prado,
jak Buen Retiro... Dzisiaj chmurny gość
całuję twoje wyszczerzone rany,
mnie z morderstw tych, co pod iglicą straszą
brzmi wieczna pieśń ludzkości, Kain, Abel,
a nocnym sercem płynie wyrzut niemy
jak Manzanares, rzeka krwawa.

JIRI WOLKER

W gabinecie rentgenologicznym

To nie Fausta komnata, tu duszom nie trzeba zaklęcia:
To aparat Roentgena, tu magia współczesna się święci.
Ponadfiołkowe promienie tu przenikają świat ciemny
i kreślą szyfr tajemny.
Ciało ludzkie jest duszą i wyrok w nim się mieści,
czy człowiek się dla szczęścia zrodził czy boleści.
„Doktorze, w moich piersiach coś się złego kryje:
to w nich ciężar ołowiu, to w nich czuję żmiję.
Prześwietlij promieniami, doktorze, me ciało
i powiedz, co tam widzisz i co mi się stało."
„Co widzę, robotniku, to są płuc twych strzępy,
fabryki je zniszczyły dymem swym i sadzą,
słyszę w nich świst transmisyj i maszyn zastępy,
które huczą, że zdziercy są nad tobą władzą.
Robotniku, widziałem płuc twych tajemnicę.
wysuszonych od głodu, zżartych przez gruźlicę.
Umrzesz!" — „Śmierć czy choroba to jest ciężkie brzemię,
jednak jeszcze cięższego coś być musi we mnie.
Doktorze, jeszcze głębiej prześwietlij me ciało
i powiedz, co tam widzisz i co mi się stało."
„Co widzę, robotniku? Widzę serce twoje,
a serce łatwiej umie w śmierci zejść podwoje,
niż nie miłować."
„Panie doktorze, i ten ciężar znam,
Ale prześwietlij mnie do dna, do głębi,
Największe brzemię znajdziesz właśnie tam,
ledwie je unieść mogę, a kiedy wypadnie,
ziemię całą roztrzaska na kawały snadnie."
„Najgłębiej, widzę — czarna nienawiść się kłębi."

przełożył K. A. Jaworski

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Społeczne oblicze Boya-Żeleńskiego

W naszej literaturze doby międzywojennej, gdy się ją ocenia z teraźniejszego dystansu, osobistość Boya-Żeleńskiego zajmuje stanowisko zgoła wyjątkowe. Trudno wskazać kogo innego dla doby swej tak charakterystycznego. Niektórzy ze współczesnych, bądź to wzajem współdziałający, jak naczelni poeci „Skamandra" i Kaden-Bandrowski, bądź też przeciwstawiający się tamtym, jak autorzy spod znaku awangardy i wbrew skłóceniu z nimi towarzyszący im Irzykowski, słuszniej mogą być uważani za właściwych przedstawicieli minionego dwudziestolecia. Boya-Żeleńskiego nie da się wtłoczyć w jakiś określony prąd czy kierunek tych czasów, niemniej on właśnie jest ich pisarzem najbardziej znamiennym, najlepiej wyrażającym witalistyczne piętno pokoleń przejściowych.

Wprawdzie wspomniany w naszym zestawieniu Irzykowski poszukiwał rozumowo ugruntowanej podstawy dla swej krytycznej działalności, lecz była to tylko obrona przed supremacją życia nad intelektem, wynikająca zresztą z właściwej autorowi „Pałuby" filozoficznej przekory. Doprowadziło go to nawet do otwartej i ostrej walki z Boyem, lecz książka o „Beniaminku", najsłabsza z prac krytycznych Irzykowskiego, była właśnie odsłonięciem przysłowiowej pięty achillesowej. Istotna różnica między nimi polegała bowiem nie na treści, lecz na metodzie. Dogłębną pasją obu była walka o szczerość.

Irzykowski, z założenia zajmując pozycję bojową, zwłaszcza wobec kierunków lub postaci uznanych, doszukiwał się zawsze czyichś słabizn myślowych, aby z tym większym zapałem nawet w miernotach odkrywać właśnie owe myślowe wartości. W gruncie jednak autor „Walki o treść" stale dążył nie tyle do cudzej, ile do własnej prawdy. Natomiast postawa Boya-Żeleńskiego, chociaż oparta na racjonalizmie, tkwiła całkowicie w życiu. Otworzyć „okno na życie" — oto była jego idea przewodnia. Nie sobie, lecz ogółowi. Było w nim wiele z mędrca w stylu Sokratesa. Lecz gdy sam żartem nazwał siebie mędrcem, uczynił to pod pokrywką „propagandy" dla zamierzonego celu wydawniczego, podobnie jak wcześniej swój przekład dziełka Kartezjusza wydał pod opaską z napisem: „Tylko dla dorosłych". Takie właśnie chwyty humorysty prowokowały zatopionego w powadze myśli filozoficznej Irzykowskiego. Tymczasem wynikały one z sokratejskiej mądrości Boya, który nade wszystko był społecznym działaczem. Cały jego olbrzymi trud literacki, mimo swego ogromu czyniący wrażenie jakby stawał się lekko i „od niechcenia", jeśli nie był od razu, to rychło uświadamiał się w autorze jako czyn społeczny. Czynami społecznymi były przecież i „Słówka", i stukilkudziesięciotomowy zbiór przekładów pisarzy francuskich, i kilkunastotomowa seria recenzyj teatralnych, i liczne zbiory szkiców literackich, i „pasterskie" objazdy odczytowe po Polsce i po Francji, i wspomnienia o młodopolskim Krakowie, i walka z historyczno-literackim brązownictwem, i w podobnym znaczeniu nawet opowieść biograficzna o „Marysieńce", wreszcie i prace wydawnicze, poświęcone Żmichowskiej czy też Jakubowi Wojciechowskiemu. Wspomniawszy zaś wcześniejszą działalność Boya jako lekarza, który podjął inicjatywę „Kropli mleka" dla niemowląt, w tymże szeregu wyraźnie już określonej akcji społecznej należy wymienić te jego książki, w których walczył o prawa świadomego macierzyństwa, rozprawiał się z instytucją „dziewic konsystorskich", nie wahał się jawnie występować przeciw „czarnej okupacji". Cała jego działalność literacka była działalnością na wskróś i najszerzej społeczną.

Odkrywcza rola Boya jako krytyka literackiego na tym właśnie polega, że na dzieło literackie czy teatralne patrzył od strony życia, że jego sprawdzianem myślowym były doświadczenia społeczne, że człowieka i jego prawdę widział i oceniał pod kątem zjawisk społecznych. I może dlatego głównie wydaje się nam on dzisiaj naczelnym przedstawicielem Polski międzywojennej, że w jej literaturze najżywotniej wybijał się nurt społeczny, nawet ze szkodą dla jej nurtu filozoficznego i dla jej nurtu artystycznego. Kiedyś, gdy pod wpływem czasu uspokoją się zrozumiałe antagonizmy między dzisiaj a wczoraj, owo społeczne dążenie naszych pisarzy minionej doby będzie im zapewne policzone za rzetelną zasługę. Mimo wszystko, choćby wbrew sobie, choćby nie wszyscy z tak świadomie postawionym celem jak Władysław Broniewski, Julian Przyboś, Marian Czuchnowski, Helena Boguszewska, Jan Wiktor, Leon Kruczkowki, Wanda Wasilewska, Władysław Kowalski i inni, pisarze Polski międzywojennej odznaczają się społecznym stosunkiem do człowieka i świata. Tkwił już w nich mocno ten kierunek literacki, który staje obecnie przed nami jako ściślej już określony realizm społeczny. Wyjątkowe znaczenie Boya-Żeleńskiego polega na tym, że jednoczył on w sobie tęsknotę witalizmu skamandrycko-kadenowskiego z głęboką wnikliwością wpatrzonego w życie umysłu krytycznego racjonalisty. Oczywiście, dodać do tego należy wrodzony Boyowi i wyrobiony na wzorach francuskich talent pisarza, którego słowo tętniło zawsze żywą prawdą, humanisty bez jakiegokolwiek obarczenia papierowym brzemieniem literackości. Skoro się zważy benedyktyńską pracowitość tłumacza i szperacza, aż dziw bierze, że nie odcisnęło się na Boyu piętno jego historyczno-literackich zamiłowań, że był zawsze i pozostał do końca pisarzem „żywych ludzi", że tych „żywych ludzi" odgrzebywał spod pyłu papierowych pamiątek, że stał się wręcz genialnym łowcą sekretu żywotności, tkwiącej w sztuce dzięki sile odbitej w niej rzeczywistości.

Wynikało to z natury temperamentu Boya, że nie dałby się zaskłepić w jakiejkolwiek, choćby najsłuszniejszej doktrynie, ani związać z żadnym, choćby najbliższym sobie kierunkiem politycznym. Cechował go natomiast głęboko etyczny stosunek do spraw życia społecznego. W gruncie rzeczy Boy był moralistą, aczkolwiek nigdy nie był i stać się nie mógł moralizatorem. Jedynym dogmatem, którego by za żadną cenę nie odstąpił, była szczerość, płynąca z dogłębnie ludzkiej postawy pisarza, który dlatego zwalczał wszelką obłudę, że widział w niej zło bez względu na takie czy inne pozory. Dlatego więc Boy, będąc w każdym calu społecznikiem, nie mógł stać się praktycznym politykiem. Jego pasja społeczna wyżywała się na terenie literatury, o której sam się wyraził, iż „jest sejmem narodu, ważniejszym może od tego, który tam w zaciszny półkolu, wymyśla sobie wzajem przy ulicy Wiejskiej". Zresztą w swych badaniach nad mechanizmem zjawisk społecznych, zrozumiawszy ich związki wzajemne, utwierdził się Boy w przekonaniu o potędze dnia codziennego, o potędze nawet drobiazgów jako czynnika rozstrzygającego o realizmie faktów. Był to właśnie jeden z najgłębszych powodów rozmiłowania się Boya jako tłumacza w Balzaku, że w jego „Komedii ludzkiej" odnalazł nie tylko szczerość realizmu, przeciwstawiającego się romantycznemu gestowi, lecz bodaj przede wszystkim prawdę człowieka w jego bycie powszednim i tego bytu gospodarczo-społeczny mechanizm. I jeśli w naszej literaturze przedwojennej sprawa realizmu społecznego i sprawa szczerości były dwiema głównymi dźwigniami wspólnych wysiłków twórczych, to Boy o tyle jest nam dzisiaj bliższy, że z dźwigni tych nie urabiał nowych gestów w rodzaju kadenowskiego „patosu codziennej prostoty", lecz sprowadzał je do ich życiowych wymiarów w związkach ze środowiskiem obyczajowym i gospodarczym. Daleki był od wszelkiego nowego brązownictwa, jego zaś oryginalność jako pisarza polegała w znacznej mierze na odkrywczej szczerości. Można tu zauważyć słuszność znanego powiedzenia Carlyle'a, że oryginalność pisarza wynika nie z nowości lecz ze szczerości.

Byłoby to ciekawe zagadnienie dla jakiejś polonistycznej pracy doktorskiej, w jakiej kolejności kształtowały się poglądy Boya, czy od stosunku życia do literatury, czy odwrotnie. On sam wyraził się kiedyś, że „literatura jest to istota żywa, kapryśna, samowolna, która drwi sobie z wszelkich podziałów i przydziałów". I za całe swe zadanie krytyka literackiego uważał, iż trzeba „uczynić nam pisarza żywym i potrzebnym". Dokonywał zaś tego w sposób rozmaity, zależnie od nadarzającej się sposobności, najczęściej za pomocą prześwietlenia utworu literackiego od strony jego życiowej lub społecznej aktualności. W swej pracy tłumacza, aczkolwiek ograniczał się przeważnie — bo nie zawsze — do mniej lub więcej uznanych arcydzieł, nie dobierał ich na podstawie podręcznika historyczno-literackiego, lecz przekładał takie, których urok, choć gdzieniegdzie przyprószony patyną stylu epoki, wyszedł zwycięsko z próby czasu, a których treść porusza sprawy dla nas nadal żywotne i dlatego więcej nas zdolna zająć od niejednego z utworów współczesnych. Jako recenzent teatralny Boy dlatego właśnie był tak wnikliwy i zarazem odkrywczo świeży, że mając za sobą ogromną kulturę umysłową, rozporządzając na zawołanie wielkim zasobem porównań i zestawień, brał rzeczy przede wszystkim od strony aktualności życiowej. Dzięki temu tak często wnosił umiejętność spojrzenia na sztukę od strony życia i na życie od strony sztuki w sposób zupełnie niespodziewany, nawet wtedy, kiedy pisał o sprawach, zdawałoby się, dostatecznie znanych. Jego studiom krytycznym, nie tylko teatralnym, lecz w ogóle literackim, nadaje to charakter wręcz rewelacyjny. Cywilna zaś odwaga szczerego i otwartego wypowiadania się w kwestiach, o których do niedawna — bo do Boya właśnie — nie mówiło się, nie pisało, a tym bardziej nie drukowało, to jeszcze jeden powód, który zapewnia Boyowi chlubną kartę w dziejach polskiej kultury umysłowej.

Boy, biorąc na swój warsztat krytyczny jakiś mit historyczno-literacki, a wiadomo, jak się od nich roi, choćby był to mit najpewniej utrwalony, i na pozór nie do naruszenia, to albo go doszczętnie przenicował, albo pokazał w tak zupełnie innym świetle, iż nabierał on wręcz odmiennego znaczenia. Główną bowiem zaletą Boya jako krytyka jest aktualizacja zagadnień. Postaci i dzieła przeszłości pod jego piórem odsłaniały szczerze ludzką prawdę, a przez to stawały się nam bliższe, zrozumialsze, istotnie i bezpośrednio dla nas ciekawe. Nawet czytelnika poszukującego w książce tylko rozrywki Boy rozciekawia anegdotą, wydobytą z tak zwanej skandalicznej kroniki czasu, czyli spoza kulis historii oficjalnej, ale to jest tylko punkt zaczepienia, skąd snuje się całe pasmo gruntownie zgłębionej wiedzy, w którą czytelnik czuje się wprowadzony jakby znienacka. Bo jest to również właściwością Boya, że przedmiot o którym opowiadał lekko i swobodnie, z uśmiechem bezpretensjonalnego gawędziarza, znał on najdokładniej i tak dalece, iż omal każdy ze swych szkiców okolicznościowych mógłby zaopatrzyć, niby najuczeńszą rozprawę, całym aparatem źródłowo-naukowym. Jak zaś celnie trafiał w omyłki zawodowych uczonych, świadczy o tym najwymowniej rzecz o „wiatrologii". W artykule tym Boy wytknął prof. Ignacemu Chrzanowskiemu różne gaffy w jego książce o Fredrze. Zaatakowany sam później przyznał Boyowi słuszność i powiedział o sobie, że się tych omyłek „bardzo wstydzi". Warto tu przypomnieć jedną z wielu tego rodzaju notatek Boya stwierdzających jego bystrość kulturalną. Oto przygodnie napomknął w jednej ze swych recenzji, że Płoszowski w „Bez dogmatu" cytując Fausta niby Goethego, cytuje tekst libretta do opery Gounoda. Zważywszy wielość i rozmaitość takich marginesowych spostrzeżeń rozrzuconych w pismach Boya, które w połączeniu z ogromem jego literackiej puścizny dają dopiero właściwą skalę pracowitości umysłu, odczuwa się całą wymowę tych skromnych własnych słów pisarza o sobie: „Odpoczynek mnie męczy, rozrywki mnie nudzą, najbardziej lubię zwykły dzień roboczy".

Wyznawca szczerego realizmu społecznego i człowiek niestrudzonej pracy, jakim był w skali dorównywającej największym tytanom kultury ludzkiej, nie zatracił Boy nigdy odczucia współczesnej rzeczywistości człowieka i potrzeby społecznego postępu. Przypomnijmy choćby jego słowa dopominające się ryzyka w polityce teatralnej, aby uprzytomnić sobie jak nadal jego wskazania są dla nas nader aktualne. Zresztą cały szereg postulatów społeczno-obyczajowych, wysuwanych przez Boya, wciąż jeszcze wymaga spełnienia — są to po prostu niezałatwione palące zagadnienia naszego czasu. W perspektywie zaś szczególnie nam bliskich zadań społecznego upowszechnienia kultury zapamiętać warto i o tym zdanie Boya, że „nie ma specjalnej **sztuki dla tłumu**, sztuką dla tłumu bywa zwykle to, co trzydzieści lat temu było sztuką dla elity". Wskazany czas przedziału należałoby skrócić lub nawet usunąć, niezbitym wszakże pewnikiem pozostanie, że sztuka jest jedna. Zmieniają się tylko wymagania społeczne.

Nie ma bodaj sprawy, o którą Boy nie zahaczyłby swą czułą na wszystko co ludzkie myślą. Z każdego zdarzenia, niekiedy pozornie błahego, obok którego przeszliśmy obojętnie, Boy wydobywał jego głęboki sens życiowy i wskazywał nam poza nim nieoczekiwanie rozległe widnokręgi. Rzecz każdą ujmował w jedyny, sobie właściwy sposób szczerości. Niewielu znajdujemy pisarzy, którzy na równi z Boyem uczyliby nas widzieć świat i ludzi, pod osłoną głupstwa odkrywając głębię mądrości, a pozorną mądrość rozpraszając w znikomy pył doczesnej głupoty. Toteż pomawiano go o demoralizowanie, jak ongi Sokratesa, za którym Boy mógł był bez zmiany powtórzyć, iż znajduje się „mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś wiedzą a wiedzą mało albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich, mówią że to ostatni łajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich ktoś spyta, co on robi takiego i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć, nie wiedzą jak; żeby pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każdego miłośnika wiedzy zaraz mówi, że tajemnice nieba odsłania i ziemi bogów nie szanuje, a z gorszego zdania robi lepsze".

Kazimierz Czachowski

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

DYMY NAD BIRKENAU

STR. 302 ZŁ. 140.—

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

Największa teatralna biblioteka polska

Tytuł ten brzmi — na pierwszy rzut oka przynajmniej — nieco pretensjonalnie: czyżby naprawdę **największa teatralna biblioteka polska?**

A jednak — niestety — jest to smutna, ale niezaprzeczalna prawda. **Biblioteka Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego** jest w tej chwili najbogatszą i zarazem najstarszą biblioteką teatralną w Polsce.

Biblioteką Teatru Śląskiego stała się dopiero przed paru miesiącami, gdy w dniu 30 sierpnia br. Teatr Polski ze Lwowa przyjechał do Katowic i przywiózł ze sobą za pozwoleniem władz rosyjskich kompletną, obejmującą — po poprzednim wydzieleniu z niej oper i innych muzykaliów — około 6.000 tomów, w większej części tekstów sztuk, obok zbiorowych wydań dzieł poetów i innej literatury spokrewnionej z dramatem i teatrem.

Na wszystkich egzemplarzach umieszczono pieczęcie: **Własność Gminy m. Lwowa — Własność Teatru Miejskiego we Lwowie.**

Obok tych atoli, stale powtarzających się pieczęci, nie brak i innych. Na niektórych egzemplarzach czytamy po niemiecku: **Graf Skarbek'sche Theater Bibliothek.** Ślad owej epoki, kiedy w **Królestwie Galicji** dominujący wszędzie był jeszcze język niemiecki.

Myliłby się jednak bardzo ten, kto by sądził, że biblioteka ta przedstawia interes jedynie dla teatru. Może ona być przedmiotem badań zarówno dla historyka, jak dziejopisa literatury, kultury i obyczaju polskiego.

Oczywiście dla teatrów jest nieoceniona. Jest kopalnią tekstów, bardzo często rękopiśmiennych, nierzadko unikatów istniejących w jednym jedynym egzemplarzu tutaj właśnie uratowanym i zachowanym po rozgromieniu wszystkich bez mała istniejących przed wojną bibliotek teatralnych. Ta ocalała cudem

Weźmy pierwszą lepszą książkę z rzędu. Niegdyś była oznaczona nr 69, obecnie ma liczbę porządkową 5.389. Spójrzmy na tytuł: **„Poemat dramatyczny Fryderyka Szyllera, Wallensztajn** przełożył Jan Nep. Kamiński, Część pierwsza, Lwów. W Księgarni Wilda (Edward Winiarz) 1837".

Zachowaliśmy pisownię oryginału. Zajrzyjmy do środka. Na szóstej stronie gotyckim drukiem: **Osoby.** Przy nich, niestety, ołówkiem i znów, niestety, w skrócie, podane nazwiska aktorów, którzy grali role: Wachmistrza, Trębacza, Konstabla, Kapucyna, Markietanki.

W środku doklejony rękopis. Dwie kartki zaopatrzone w cienki, żółto-czarny jedwabny sznureczek z pieczęcią, świetnie zachowaną, wyciśniętą w papierze. Na pieczęci dwugłowy orzeł austriacki z koroną i napisem w otoku: **K. K. Polizei Direction in Lemberg.** Oto tekst, pisany przepięknym pismem: „Na mocy rozporządzenia Wysokiego Prezydyum c. k. Namiestnictwa z dnia 12-go Marca 1865 do L. 2352/pr., udziela się Dyrekcji Teatru Polskiego pozwolenia odegrania sztuki:

„Wallenstein" obrazek dramatyczny Frederyka (sic!) Schillera, przełożył Jan Nepom. Kamiński pod warunkiem opuszczenia miejsc skreślonych na stronicy 45 wiersz 31 i 32, na stronicy 47 wiersz 28 i na stronicy 48 wiersz 1—25, a powtóre, by osoba przedstawiająca Kapucyna, w szatach stanu kapłańskiego nie występowała.

Z c. k. Dyrekcyi Policji, Lwów, 23 marca 1865".

Podpis nieczytelny.

Chociażby z najzwyczajniejszej ciekawości zajrzyjmy, co to za niebezpieczne hasła dla monarchii austro-węgierskiej rzucał stary Schiller w swoim Wallensteinie.

Na stronicy 47 wiersz 28 brzmi: „że ten, kto nam nie płaci, to jest Cesarz właśnie". Wprawdzie od tego czasu minęło paręset lat, ale upominanie się o płacę, to zawsze pachnie buntem. Wszystkie inne miejsca również o cesarzu.

Nie mamy dziś już danych, by odgadnąć, jak poradził sobie teatr lwowski przed 80-u laty i w jakie szaty odział „osobę przedstawiającą Kapucyna", aby i autor i widz był syty i cenzura cała? A szkoda...

To jest jeden przypadkowo wybrany egzemplarz. W innym Michał Bałucki własnoręcznie skarży się, że mu pozmieniano, — nie wiadomo kto — tekst jego „Domu otwartego" i żąda, aby nadal grano komedię w jej pierwotnym tekście.

Jakaż to kopalnia wiadomości historycznych, literackich, anegdot teatralnych!

Ale obok tych — że się tak wyrazimy — „smaczków", jakich tu znaleźć można setki, dla historyka naszej literatury dramatycznej przede wszystkim, biblioteka ta przedstawia znakomity materiał do badań źródłowych nad tekstami utworów.

W Bibliotece Teatru Śląskiego jest wiele rękopisów sztuk: Zapolskiej, Perzyńskiego, Kaweckiego i wielu, wielu innych.

Zjawiały się one nieraz w kilka, kilkanaście lat po premierze, za życia autora, lub po jego śmierci — jak to było w dużej części ze spuścizną literacką G. Zapolskiej — w druku. Ale z jakich egzemplarzy, poprawianych ręką autora czy wydawców?

Jeszcze we Lwowie przed kilkunastu laty — tak przynajmniej mówi tradycja teatralna — pewna część egzemplarzy została z Biblioteki wydzielona i oddana do „muzeum teatralnego". Jakiego i gdzie? Tego tradycja nie mówi. Miały to być rękopiśmienne egzemplarze Bogusławskiego, Kamińskiego, Fredry, Wyspiańskiego i innych.

Stało się to niewątpliwie już po moim wyjeździe ze Lwowa do Poznania (1920 r.), w przeciwnym razie bowiem pracując w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich byłbym coś o tym wiedział. Interesowały mnie te sprawy, nie tylko zresztą jako bibliotekarza, ale i jako krytyka teatralnego.

Pamiętam natomiast dokładnie, jaką sensacją literacką było wykrycie w tej właśnie bibliotece rękopisu pierwszej, uchodzącej za zaginioną, komedii Aleksandra Fredry „Intryga na prędce", która przy bliższym zbadaniu okazała się pierwszym rzutem znanej komedii Fredry, nie należącej zresztą do jego arcydzieł, „Nowy Don Kiszot".

Ciekawych szczegółów odsyłam do zbiorowego, sześciotomowego wydania dzieł Fredry, którego dokonał prof. dr Eugeniusz Kucharski nakładem „Ossolineum".

Znaczenia Biblioteki Teatru Śląskiego dla samych teatrów tłumaczyć nikomu nie trzeba. Mówią o tym najlepiej listy dyrekcji teatrów wszystkich miast polskich, proszące o nadesłanie egzemplarzy. Tekstów oryginalnych oczywiście Teatr Śląski nie wypożycza, ale osobne w tym celu zorganizowane przez dyrekcję biuro zajmuje się przepisywaniem na maszynie i rozsyłaniem egzemplarzy.

Obok ochrony całości mienia tej tak ważnej biblioteki ma to jeszcze cel inny: w ten sposób tylko będzie można podłożyć podwaliny pod nowe biblioteki teatralne w tych teatrach, które je potraciły. W przeciwnym razie, po odegraniu sztuki, egzemplarz powracałby do Katowic i w najlepszym wypadku pozostawał nadal — unikatem...

Ma to swoje niedogodności: zwłoka w czasie przy dzisiejszych cenach materiałów piśmiennych i pracy, poważny stosunkowo koszt, ale na to nie ma innej rady, jest to dyktowane przez ciężkie warunki — konieczność.

Uratowanie tej biblioteki ma dla naszej kultury, nie tylko teatralnej, ogromne znaczenie, na które zwracamy uwagę tych osób i czynników, którym leży ona na sercu. Straty nasze są tak potworne, że każda — nie biblioteka, — ale każdy egzemplarz wartościowej książki polskiej winien być otoczony opieką, z pietyzmem chroniony nie przez bibliofilów i bibliotekarzy, ale przez całe bez wyjątku społeczeństwo polskie.

Jerzy Koller

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI

Majkowski, Tetmajer Kaszubszczyzny

Stanisław Majkowski

W lutym 1938 r. zmarł w Gdyni po długiej chorobie serca dr Aleksander Majkowski, zasłużony pisarz, działacz społeczny i oświatowy, przywódca ruchu młodokaszubskiego, długoletni redaktor kwartalnika regionalnego „Gryf".

Nazwisko Majkowskiego związane jest ściśle z nowoczesnym ruchem kaszubskim, który w ramach narodowej kultury polskiej pielęgnował wartości regionalne ziemi kaszubskiej odrzucając separatyzm Floriana Ceynowy i poglądy Hieronima Derdowskiego na niedokładność języka kaszubskiego. Hasło Majkowskiego brzmiało: „Co kaszubskie — to polskie".

W okresie naszej niewoli politycznej Majkowski budził ducha narodowego wśród Kaszubów, a w wolnej już Rzeczypospolitej stał się orędownikiem Kaszubszczyzny i niejako wodzem duchowym Kaszubów.

Majkowski był nie tylko pionierem i organizatorem odrodzonej Kaszubszczyzny, ale i pisarzem wysokiej klasy.

Urodzony w Kościerzynie 1876 r., po ukończeniu szkoły średniej studiuje medycynę na uniwersytecie w Monachium, Berlinie i Gryfii oddając się jednocześnie gruntownym badaniom nad językiem kaszubskim.

Wiedziony intuicją nawiązuje Majkowski pierwsze swe próby literackie do Jarosza Derdowskiego i na wzór tego pierwszego poety kaszubskiego pisze rymowaną humoreskę: „Jak w Koscerzne koscelnygo obrele abo pięc kawalerów a jedna jedyno brutka" (1899). Niebawem ukazuje się druga jego praca i to w języku polskim „O pielgrzymce wejherowskiej".

Ukończywszy w roku 1906 studia uniwersyteckie zostaje Majkowski lekarzem w Gdańsku i redaktorem „Gazety Gdańskiej", przy której zaczyna ukazywać się jego staraniem i pod jego redakcją dodatek tygodniowy o charakterze regionalnym pt. „Drużba", drukowany po kaszubsku. Redagując to pisemko Majkowski przygotowuje się do swej późniejszej szerokiej działalności i coraz poważniej ocenia wartość kultury kaszubskiej.

Wkrótce młody lekarz osiada w rodzinnej Kościerzynie i zakłada czasopismo kaszubskie „Gryf", którego zadaniem było dźwignąć poczynania pisarzy kaszubskich na poziom literatury i stworzyć ośrodek wysiłków kulturalnych Pomorza i Kaszubszczyzny. Skupiwszy dokoła siebie młodych działaczy i pisarzy kaszubskich (Karnowski, Heyke, Sędzicki, Klebba, Krancki, Cyra) przystępuje w 1909 roku do wydawania „Gryfa". Pismo to, redagowane z miłością, pasją i znajomością rzeczy, staje się wnet organem najpoważniejszym pracy regionalnej i jedynym periodykiem artystycznym i kulturalnym na cały zabór pruski. „Gryf" utrzymał się przez cztery lata. Upadł, lecz zadanie swoje zdołał w znacznej mierze spełnić.

Po upadku „Gryfa", pozbywszy się trudnych obowiązków redaktorskich, zabiera się Majkowski do pracy nad powieścią kaszubską. Przygotowania te przerywa pierwsza wojna światowa, w której Majkowski bierze udział jako lekarz artylerii polowej. Po powrocie z wojny Majkowski zostaje naczelnym redaktorem „Dziennika Gdańskiego" i członkiem komisji do ustalania granic. Następuje powolna normalizacja stosunków i Majkowski wraca do swej najmilszej pracy. Osiada w roku 1921 w Kartuzach i znowu dzieli czas między obowiązki lekarza i zajęcia literackie. I tak bierze czynny udział przy restytucji „Gryfa" a po jego ponownym upadku zaczyna współpracować z toruńską „Teką Pomorską".

„Gryf" miał żywot nie łatwy i niestety, mimo ogromnych wysiłków inicjatora nie udało go się utrzymać. W ciągu 25 lat upadał trzykrotnie i zdobył się zaledwie na dziesięć roczników niewielkiej objętości, lecz ważkiej treści.

Po kilku udanych próbach literackich ogłaszanych pod nazwiskiem lub pseudonimem Jana Starzy i Świętopełka Sustomskiego, puścił Majkowski w świat utwór „Na pustkowiu" — pierwszy tom obszernej, wycyzelowanej powieści kaszubskiej „Żece i przigode Remusa" (1936). Jest to pierwszy a zarazem najlepszy wyraz kaszubszczyzny literackiej. Ta jedyna powieść kaszubska zaliczona zostala do czołowych osiągnięć polskiej literatury regionalnej.

Jakkolwiek na ocenę całej twórczości literackiej Majkowskiego dziś jeszcze jest przedwcześnie, to zgodzić się trzeba bez zastrzeżeń z opinią A. Bukowskiego, że powieść „Żece i przigode Remusa" — „jest arcydziełem Majkowskiego, w którym wykazał pełnię swego talentu i artyzmu i wyzyskał całe swe doświadczenie i wiedzę o Kaszubach". Dlatego prawdziwie powieść ta, jak głosi podtytuł, jest „zwierciadłem kaszubskim". Przepiękny krajobraz i bogata przyroda, z mistrzostwem odtworzone typy ludu, folklor tkwiący w każdym zdaniu — nieledwie w każdym wyrazie, snują się na kartach tej książki, do której autor wplótł wątki pięknej bajki kaszubskiej o „zaklętej królewionce" i „zapadłym zamku". Czytelnik czuje, że autor to co pisze wyjął z serca ludu, a wzrusza go prostota, z jaką kreśli obrazy; równocześnie zaś ogarnia go uczucie wzniosłości, które wypływa z natchnienia i wizji poetyckiej, przewijającej się przez całą powieść.

Powieść ma wyjątkowe walory ideowe, folklorystyczne i przede wszystkim językowe. „Autor codzienną, powszechną kaszubszczyznę podniósł do formy odświętnej, dostojnej, uroczystej, w całym słowa tego znaczeniu stworzył kaszubszczyznę literacką. Tę twórczą pracę nad kształtowaniem języka widać w „Remusie" na każdym kroku. Poeta każde słowo waży, ociosuje z grubości, poleruje, ustawia na właściwym miejscu, przy czym dobiera wyrazy ze wszystkich gwar kaszubskich. Nigdy też dotąd literacka kaszubszczyzna nie ukazała się w takim bogactwie i pięknie".

Obawiano się, że Majkowski swego „Remusa" ze względu na zły stan zdrowia w ostatnich latach swego życia — nie skończy. Pisało się nawet z żalem po zgonie poety, że „Remus" nie jest skończony. Ale na szczęście autor doprowadził dzieło swego życia do końca; a całość ukazała się w wydaniu książkowym, w zapoczątkowanym cyklu „Pism Aleksandra Majkowskiego", jako tom pierwszy, z przedmową Andrzeja Bukowskiego. Rzecz wyszła na rok przed wybuchem wojny staraniem „Stanicy" — Zrzeszenia Miłośników Kaszubszczyzny w Toruniu, z zasiłkiem Starosty Krajowego Pomorskiego. Wydawnictwo to opracował Andrzej Bukowski, a korektę przeprowadził były sekretarz autora, Feliks Marszałkowski.

Analizując dorobek piśmienniczy Kaszub i wkład kultury umysłowej kaszubskiej do skarbnicy kultury polskiej stwierdzić wypada, że na przestrzeni dziejów Kaszuby wydały trzech wybitnych pisarzy i działaczy społeczno-politycznych: Ceynowę, Derdowskiego i Majkowskiego. Z nich Majkowski najwybitniejszy.

O ile praca zawodowa i działalność polityczna, społeczna i ogólnokulturalna Majkowskiego podyktowane były warunkami życia, o tyle twórczość literacka wypływała z najgłębszej potrzeby wewnętrznej. Bo Majkowski był przede wszystkim pisarzem. Pióra próbował już jako uczeń gimnazjalny i jako członek chojnickiego koła filomackiego pn. „Mickiewicz", pióra nie wypuszcza z rąk — mimo słabości — do ostatnich chwil życia. Cały dorobek literacki Majkowskiego można podzielić na trzy grupy: na utwory epickie, liryczne i prozę powieściową. Do pierwszej grupy należy humoreska „Jak w Koscerzne koscelnygo obrele". Twórczość poetycką otwiera zbiorek „Spiewe i frantowci". W późniejszych latach Majkowski zamieszczał swe poezje na łamach „Gryfa" w rocznikach 1910—1912, gdzie wyróżniają się cykle „Horatius cassubiticus" (tłumaczenia z Horacjusza), „Jazda ze szkół" i „Z małego miasta".

Charakterystyczne wiersze z tych cyklów odznaczają się rozmachem, bystrą obserwacją, humorem i ciętą satyrą, a niekiedy rzewną nutą tęsknoty za miastem rodzinnym i za Kaszubami.

Wreszcie trzecią grupę w dorobku literackim Majkowskiego stanowi kaszubska proza powieściowa, której pierwsze próby znajdują się w „Gryfie" („Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube") i której najpełniejszym wyrazem jest właśnie pierwsza powieść kaszubska „Żece i przigode Remusa", dzięki swojej wartości literackiej i artystycznej stanąć mogąca śmiało obok „Skalnego Podhala" Tetmajera.

Mieczysław Dereżyński

Pierwsza czytanka

Ku lepszej przyszłości. Czytanki polskie dla starszej młodzieży szkół powszechnych i kursów dla dorosłych. Zestawili **H. Szipper** i **T. Wojeński.** Katowice, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. 1945; str. 317 i 4nl.

Pierwsza czytanka dla zreformowanej szkoły zestawiona została w rekordowym tempie, aby częściowo choćby zapobiec katastrofalnemu brakowi podręczników do nauki języka polskiego. Brak ten przybiera rozmiary klęski, obok bowiem niedoli materialnej nauczyciela, niedostatek środków i pomocy naukowych jest smugą cienia, który w obecnym trudnym czasie pada na szkołę.

Twarda konieczność zmusiła autorów do tego, by mieć na uwadze aż kilka klas szkoły powszechnej (IV—VII), kursy dla dorosłych a nawet klasy gimnazjalne. Stąd niejednorodny charakter podręcznika, najwidoczniej prowizorycznego. Stąd też wynika, że wiele przewidywanych w programie elementów znajduje w czytance słaby tylko wyraz, wiele ledwo zaznaczono, niektóre zaś zupełnie pominięto. Tak np. dotkliwy jest brak ustępów poświęconych złotemu wiekowi, czytanek z dziejów reformacji w Polsce, fragmentów z pism statystów i artykułów o politycznych pisarzach, którzy głosili postępowe idee w czasach pierwszej niepodległej Rzeczypospolitej, ustępów ujmujących historycznie zagadnienie polsko-niemieckie (np. z Kisielewskiego, Wańkowicza, Srokowskiego) i zjawiska współdziałania polsko-rosyjskiego (dekabryści, tajne organizacje, Aleksander Herzen), nie ma spraw zasadniczej wagi w XIX wieku (Gromada Grudziąż, Mierosławski). W ogóle element kulturalno-historyczny, tak rozbudowany w czytankach Balickiego i Maykowskiego — jest bardzo nikły i musi być rozszerzony. Jest to najpoważniejsze zastrzeżenie w stosunku do książki i kursu nauki z jej pomocą realizowanego. Trzeba i należy oczekiwać wzmocnienia realiów, które powiększą ciężar gatunkowy wykształcenia i osadzą wychowanie na gruntowniejszych podstawach.

Układ zbioru i dobór materiału jest jasny i konsekwentny a zbiega się we współczesności, w dniu dzisiejszym, którego oblicze społeczne, ogólnopolityczne i ideowe autorzy chcą wykazać, stworzyć sugestię wychowawczą demokratycznej szkoły i w odpowiednim duchu kształtować rozum, wolę oraz uczucia młodzieży. Koncesją na rzecz regionalizmu jest, że przeznaczona głównie dla szkół śląskich książka poprzedzona jest cyklem „Śląsk" (na osiem pozycyj aż 4 Morcinka). Miłość ziemi ojczystej, uczucie braterstwa ludzi i ludów, wpojenie zasad równości i sprawiedliwości socjalnej, wychowanie nawyków społecznych („instynkt", o którym pisze T. Wojeński we wstępie, odstręcza nieco mętnością), kult pracy, respekt dla zdobyczy umysłu ludzkiego, zrozumienie znaczenia i potrzeby upowszechnionej kultury, szacunek dla jej twórców, umiłowanie wolności i kult tradycji polskich ruchów wolnościowych, niepodległości i wyzwolenia społecznego, wreszcie optymizm jako podstawa moralno-duchowa — oto pierwiastki konstrukcji szkolnego przewodnika „Ku lepszej przyszłości".

Są pisarze epoki romantyzmu i pozytywiści (zwłaszcza z cyklu „Ziemia ojczysta"), naturaliści z okresu przełomu, jest Wyspiański, Młoda Polska (Wiktor pominięty, nawet „Wierzby nad Sekwaną"), literatura dwudziestolecia (nie ma Juliusza Kaden-Bandrowskiego ani Marii Dąbrowskiej) i dużo współczesnych poetów, powieściopisarzy, essayistów a nawet publicystów. Są Skamandryci, lecz nie ma Przybosia, Putramenta ani Zbigniewa Bieńkowskiego (wiersz „Warszawo"), jest Broniewski, Ważyk. I o tym co jest i o tym czego nie ma, zwłaszcza z poezji, można by zatem poważnie dyskutować, podobnie jak nad tym, że trzech (tylko) obcych zaplątało się do zbioru: Kryłow, L. Kassil i Alfons Daudet.

Jest wojna, okupacja, konspiracja, partyzantka, niewiele z powstania warszawskiego, nie ma obozów. Jest włóczęga wychodźca po świecie (Lucjan Szenwald „Józef Nadzieja pisze z Azji Środkowej"), wojsko polskie na Wschodzie i na Zachodzie (Adam Ważyk „Pierwsza Armia". Żanna Kormanowa „Polsko-radzieckie braterstwo broni", Janina Broniewska „Kierunek Warszawa", Józef Ślagalin „Obraz Lucjana", Ksawery Pruszyński „Droga wiodła przez Narvik", Arkady Fidler „Chmura", Wanda Wasilewska „Żelazny krzyż") i „Dzieje robotnika Franciszka Księżarczyka, który wyruszył z Polski na obczyznę za chlebem; dzieje górnika Księżarczyka, który bił się w Hiszpanii i wrócił do kraju, aby walczyć z okupantem" (M. Grabowska „Nad Manzanares i nad Wisłą").

Linie zmierzają ku współczesnej rzeczywistości. Urywek z Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, reforma rolna, początki Rządu Tymczasowego, usiłowanie wejścia w tematykę odbudowy, niestety bardzo niewystarczające. Czym np. zażegna w czytance nauczyciel ostry niedostatek obrazu sprawy polskiej w okresie drugiej wojny światowej, formowania się państwa od Związku Patriotów do Rządu Jedności Narodowej? Jaki jest rzeczywisty pożytek z Jerzego Rutkowskiego „Sznurem, metrem, krokiem", lub Z. S. „Młodzież buduje stolicę", albo nawet z Pawła Hulki-Laskowskiego „Czechosłowackie narodowe święto pracy", gdy ani bogactwo treści, ani szczególne zalety formalne nie usprawiedliwiają przedruku przemijających artykułów, nazbyt publicystycznych w podręczniku szkolnym. Co pocznie przeciętny nauczyciel z wyjaśnieniem niezbędnym do ustępu Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego „Powrót" przy nazwiskach Nałkowskiego, Radlińskiego, Czarnowskiego, Dembińskiego (Henryka) a nawet Abramowskiego i Krzywickiego? A jednym z zasadniczych, głównym probierzem książki szkolnej jest jej wartość użytkowa.

Rzecz oczywista, że autorów tłumaczy wiele, wyjaśniając przyczyny braków, co nie umniejsza ich wszakże. Szukanie w księgozbiorach zniszczonej stolicy jest nad wyraz ciężkie, organizowanie drogą społecznego zamówienia nowych utworów wciąż trudne, tym więcej przed niespełna rokiem, gdy zaczęto pracę (wstęp nosi datę marca 1945 roku).

Zasada pomyślana jest dobrze a właściwy zrąb złożony starannie i trafnie. Wśród masy czytanek o wysokiej wartości literackiej i sile ideowo-wychowawczej trafiają się prawdziwe perły w mowie wiązanej i prozie np wznowione opowiadanie „Fraternitas" nieodżałowanej Haliny Górskiej, „Blizna" Janusza Korczaka, pełnego troski, „żeby nikt ze szkoły polskiej nie wyniósł w świat, w życie" — blizn na głowie i w duszy, albo Wandy Wasilewskiej „Dziecięcy raj". Albo dla pomocy rewizji historycznych poglądów doskonały „Paradoks" z pism Aleksandra Świętochowskiego z konkluzją: „Polska powinna się cofnąć z drogi Jagiellońskiej i powrócić na Piastowską. To znaczy powinna całą swoją siłe skierować ku obronie kresów zachodnich zamknąwszy wschodnie granice swego zasięgu plemiennego. **Drang nach Osten** musimy zmienić na **Drang nach Westen.** Tam jest zbawienie, siła i bezpieczeństwo Polski".

Obiektywnym faktom nie nadąża psychologia społeczeństwa, trwająca przy niepowracalnych racjach i zapóźnionych emocjach. Nadrobić odstęp od rzeczywistości i wprowadzić w nią aktywnym krokiem nowe pokolenie jest rzeczą szkoły, której dano pierwszy do tego celu instrument: czytankę!

Józef Sieradzki

Z WYSTAWY NIEZALEŻNYCH W KRAKOWIE

EUGENIUSZ EIBISCH — Martwa natura

Od Pogana do Balzaka, od Przybosia do Homera

GAWĘDA POLEMICZNA

Dyskusja ze współpracownikami „Wsi" nie należy do spraw bezpiecznych. Posiadają oni, jak ujrzymy niżej, tak szczególny dar wykrywania intencji, o których przeciwnikom się nie śniło, że tylko w ostateczności można się narażać na podobne niebezpieczeństwo. Piszę przeto nie artykuł, ale gawędę polemiczną, by móc mówić o sprawach, które właściwie do dyskusji nie należą. Ale które są konieczne, by dla obiektywnego czytelnika nie zostały sfałszowane moje intencje. Szczególnie dla tego czytelnika „Wsi", któremu niniejszy numer „Odrodzenia" wpadnie do ręki.

Rozpoczynam wzorem Irzykowskiego — ja pierwszy. Irzykowski miał ten obyczaj, że uczestnictwo w każdej prawie dyskusji inaugurował, że on pierwszy już o tym dawno rozmawiał z Womelą. Otóż, jeżeli nie pierwszy, to byłem jednym z pierwszych, którzy czynnie gardłowali za utworzeniem Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Zarówno w sierpniu, na zjeździe pisarzy chłopskich w Warszawie, jak przede wszystkim na krakowskim zjeździe Związku, w pierwszych dniach września ub. roku. Jako referent nowego statutu Związku gardłowałem mocno i w przeświadczeniu, że robię dobrze. Działo się przy ul. Gołębiej 20. Komitet redakcyjny i komitet terenowy „Wsi" potwierdzą. Nieprawdaż?

Po raz drugi — ja pierwszy. Dobiega już rok, kiedy na pokoje (bardzo wówczas zimne) krakowskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów zwaliły się tłumy doszłych i niedoszłych jego członków i stosy dowodów na piśmie. Było to w lutym ubiegłego roku i zanim po Czachowskim zostałem prezesem tegoż oddziału, przegryzałem się przez te papiery. Jednak stos zeszytów szkolnych z nazwiskiem Józef Pogan zrazu omijałem. Był taki gruby, że wyglądał na płód grafomana. W parę tygodni zjawił się sam Pogan. Działo się przy ul. Krupniczej 22. Wystarczyła chwila rozmowy z nim, bym dostrzegł, że pierwotne przypuszczenie było mylne. Pierwszy to spostrzegłem za wolności, za okupacji byli inni, którzy to już wiedzieli. Pogan opowiadał, jak zaszyty w słomie na strychu pisywał, by ujść przedrwiwań sąsiadów. To mi wystarczyło. Jego wieś znałem, pochodzę z tych samych okolic.

Zabrałem się do lektury. Część zeszytów zaniosłem dr Józefowi Spytkowskiemu, koledze po fachu. Na Wielkanoc nie ulegało już wątpliwości, że ujawnił się duży, samorodny talent. Mocny w noweli, nie umiejący komponować powieści. Pytałem Pogana, jak mu pomóc? Chciał pozostać i chłopem i pisarzem nadal. Należało mu pomóc i tu i tam. Posłało się go do Katowic, do Żukrowskiego, z listami i poleceniami; dostał gospodarstwo. Później powieść jego dało się dla „Orki" Ryszardowi Matuszewskiemu, nowela poszła dla „Twórczości" — i tu koniec mojej opowieści. Panie Józefie, panie Ryszardzie, nieprawdaż? Dzisiaj Pogan przebywa w pobliżu Balzaka, naturalnie nie w Halembie pod Katowicami, bo Balzac nie przejeżdżał tamtędy do pani Hańskiej do Wierzchowni, ale na łamach „Wsi".

Po co to wspominam? Najpierw, by przypomnieć, że pisarze chłopscy nie są bynajmniej gatunkiem specjalnie tępionym, jakby wynikało z drażliwości „Wsi". Przynajmniej ja osobiście nie należałem do ich tępicieli. Ponadto, by zaznaczyć swój stosunek obecny do tych dwóch pierwszeństw. Swojego stanowiska wobec Oddziału Wiejskiego chwilami żałuję, a jeszcze kilka takich numerów „Wsi" jak noworoczny, a pożałuję do gruntu. Powiem prosto dlaczego: „Wieś" osiągnęła już ten poziom wzajemnej adoracji na wewnątrz, drażliwości na zewnątrz, jaki był niepobitym dotąd poziomem „Wiadomości literackich". Bo mam wprawdzie bardzo przychylne mniemanie o Kubiszu, Nędzy-Kubińcu i Ozdze-Michalskim, a dosyć nieprzychylne o poezji skamandrytów, mimo to nie przestanę nigdy sądzić, że Tuwim, Słonimski i Broniewski byli lepszymi od nich poetami. Stąd nie potrzebowali tyle natrętnego kadzidła, którym we „Wsi" okadza się każdy wydrukowany fragment.

Więc ten poziom „Wieś" już osiągnęła. Kiedy go pobije, powiem sobie: dobrze ci tak, Grzegorzu Dyndało. Macz[illegible] sam palce. Przypuszczam, że „Wieś" zasłoni się w tym miejscu zdaniem obywatela Prezydenta Krajowej Rady Narodowej. To bardzo wygodny sposób. Tylko w takim wypadku, zaodobywać audiencje w Belwederze.

Nie chciałbym jednakże pożałować swego postępowania wobec Pogana. W obliczu jednak takich wystąpień, jak artykuł Zygmunta Kałużyńskiego „Biedny i bogaty" Józefa Pogana", poczynam się chwiać. Znów powiem prosto: wystąpienia równie mało odpowiedzialnego za słowo i równie szkodliwego dla pisarza, któremu Kałużyński pragnie oddać przysługę, nie spotkałem w obecnej prasie literackiej. Kałużyński naturalnie się zastrzega, że Pogan to jeszcze nie Balzac (jest za chudy na Balzaka i mniej dotąd napisał niż Balzac), ale w istocie talentu i opisu nikt, tylko Balzac. Hm... Po drodze krytyk przeskoczył cały prąd literacki, z któ[illegible] szczegółów", przykłady nacisku położonego na „sprawy materialne", a koniecznie szuka analogii [illegible] w Balzaku. Temu prądowi na imię naturalizm. [illegible] nie przypuszczam, ażeby Kałużyński nie czytał naturalistów. Przypuszczam, że tylko o nich zapomniał z tej prostej przyczyny, że Zola to jednak za niska parantela dla Pogana.

Niech i tak będzie. Chodzi mi o sens społeczny i literacki podobnych wystąpień. Dotkniętemu podobnymi pochwałami pisarzowi przewraca się w głowie, a krytyk tak postępujący dyskwalifikuje swoje instrumenty krytyczne, jeżeli dla opisu Józefa Pogana nie posiada bliższego punktu odniesienia. To coś jak astronom, który by się kierował tylko Wielkim Wozem.

Na temat od Pogana do Balzaka byłbym może nawet milczał, gdyby tuż obok, w tym samym numerze „Wsi" nie znalazł się dystans **Przyboś—Homer**. Mieści się on w artykule Stanisława Piętaka „Pomyłki Juliana Przybosia". Okazuje się ze słów Piętaka, że niebezpiecznie jest dzisiaj czytać Mickiewicza. „Pan ostatnio tylko z Homerem i Mickiewiczem się kumasz — do licha — czyżbyś uwierzył naprawdę, jak twierdzą złośliwi, że jesteś następcą tych olbrzymów? Cenimy cię niesłychanie jako poetę, ale twój reportaż liryczny, który uprawiasz z sukcesem, jest jakże skromny wobec osiągnięć epokowych tamtych ludzi" — woła Piętak. Oto przykład, od którego zaczynałem: magicznego wykrywania intencji.

Ponieważ nie chcę być rozwlekły, pominę trzeci podobny dystans, który się pojawił w tym samym numerze: **Niećko-Rousseau**. Ustanawia go J. A. Król w artykule „Oda do młodości" na mocy obwodu, że i „Niećko i Rousseau żyli w sensie odpowiedzialności społecznej do 20-go roku życia **beztrosko**". Pominę, ponieważ znam życie erotyczne Jana Jakuba w tych latach, ale nie znam Józefa Niećko i nie mogę być kompetentny.

Przemierzmy, moi panowie, dwa pierwsze dystanse. Kiedy to i pod piórem którego „miastowego" krytyka zostało napisane, że Przyboś jest bezpośrednim następcą Homera? Proszę o cytaty. Natomiast, że Józef Pogan z Halemby (Paderewskiego 36) jest następcą Balzaka zostało orzeczone tuż obok piórem ob. Zygmunta Kałużyńskiego. Zastanówcie się, panowie, gdzie jest megalomania. A jeżeli już naprawdę, koniecznie, tylko takimi dystansami według epok mamy mierzyć, to na moje geograficzne wyczucie odległości literackich bliżej jest od Przybosia do Homera, aniżeli od Pogana do Balzaka. Mylę się? Bardzo prawdopodobne. Przy takich odległościach błądzimy wszyscy. I nawet się nie gorszę, że „Wieś" na takich odległościach zabiakała się również. Na co jest prosty sposób: nie stawiać ich przed swymi pisarzami, nie insynuować, że poeta piszący o Mickiewiczu uważa siebie za następcę tronu po Mickiewiczu. Bo w takim razie co poczniecie z wszystkimi historykami literatury? Czy oni wszyscy są też następcami Mickiewicza?

A Józefowi Poganowi zamiast życzeń noworocznych przesyłam do Halemby stare przysłowie: broń mię Boże od moich przyjaciół. Na wrogów ma Pogan jeszcze czas; jak zostanie Balzakiem.

Kazimierz Wyka

Gawęda o książkach

Dziwnie często rozpowszechnienie książki polskiej ogranicza się do jakiegoś szczególnego terenu. Mówić można poważnie o regionalizmie w zakresie **obiegu książek**, o nader ciasnym zasięgu. terytorialnym wydawnictw, niezależnie od tego, czy obchodzą tematycznie cały kraj, czy tylko odpowiedni region. Sporo dzieł o znaczeniu ogólnonarodowym znajduje się od dziesiątków lat w handlu księgarskim specjalnie tylko w jednej dzielnicy; poza nią mało wychodziły i wychodzą. Książki, rozpowszechnione w jednej stronie kraju, istnieją gdzie indziej w ilościach znikomych, tak iż należą tam do nieznanych lub bardzo poszukiwanych.

Na przykład dzieła Ludwika Dębickiego (1843—1908). Żył i pracował w Krakowie. Wszystkie publikacje, ukoronowane czterotomowymi „Puławami", wydawał pod zaborem austriackim. Dębickiego „Człowieka w przebiegu dziejów" i „Sylwetek i portretów XIX stulecia" nie spotykało się w warszawskim handlu antykwarycznym całymi latami, natomiast w Krakowie te same trzytomowe „Sylwetki" były bardzo pospolite. Wydawca nie zajął się należycie „rozprowadzeniem" autora poza „Galicją i Lodomerią", autor sam nie dbał o rozgłos, cenzura nie dopuszczała książek ze względu na ich tendencję na obszar innych zaborów — oto przyczyny wystarczające.

Dziejopisarz Stanisław Schnür-Pepłowski (1859—1900), autor licznych szkiców historycznych, wydanych we Lwowie i Krakowie. Przed kilkudziesięciu laty — sława lokalna Małopolski, a przecież należał sercem i zakresem pisarstwa do całego kraju, tak samo jak Władysław i Walery Łozińscy, Jan Zachariasiewicz, Wincenty Pol.

Kazimierz Jarochowski (1829—1888), do którego nazwiska dodaje się często przydomek: historyk poznański, co jest tak samo niesłuszne, jak gdyby do Staszica, Libelta. Szczepanowskiego lub Przybyszewskiego doczepiano w podręcznikach historii piśmiennictwa nieodłączną uwagę: pisarz wielkopolski. Autor kilkunastu tomów pierwszorzędnych szkiców i studiów o XVIII stuleciu jest mało znany w szerszych kołach miłośników historii. Tłumaczy się to tym, że wszystkie rzeczy wyszły w Poznaniu i mało rozeszły się w swoim czasie poza pruskim kordonem.

Na półkach księgozbiorów krakowskich łatwiej bodaj znaleźć pierwsze wydanie „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta" (Akademia Umiejętności, 1889), aniżeli drugie i trzecie wydania ilustrowane, bardzo pospolite na Mazowszu.

Niesposób znaleźć na półkach bibliotek „Królestwa" i Małopolski dzieł Józefa Chociszewskiego, popularnego i płodnego pisarza i działacza oświatowego Wielkopolski z pierwszego dziesiątka lat XX w. Miał Śląsk swojego krzewiciela oświaty w osobie dzielnego i wielce zasłużonego Karola Miarki, „Kongresówka" — w czcigodnym Mieczysławie Brzezińskim, ale poza granice zaborów słowo ich prawie wcale nie sięgało.

Wydawnictwa Macierzy Polskiej we Lwowie, wśród nich „Pan Tadeusz", w stereotypowej czerwonej oprawie, trafiały liczniej do rąk wychodźców na drugiej półkuli niż za kordon carski lub pruski, gdyż instytucja w czasach niewoli działała wyłącznie na terenie zaboru austriackiego.

W Krakowie łatwo spotkać w handlu księgarskim Konecznego „Dzieje Polski za Piastów" i „Dzieje Polski za Jagiellonów", wydane przez Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej, za to w Warszawie dzieła te bardzo rzadko pojawiają się na wystawach. Podczas wojny opłacało się ogromnie przywozić wszelkie dzieła dotyczące dziejów Polski do Warszawy, należały bowiem do bardzo poszukiwanych (oczywiście poza witryną).

Książka polska w czasach niewoli powstawała i rozchodziła się w warunkach z góry ograniczonych, podobnie jak gazety lub czasopisma. W „Królestwie" królowały przez dziesiątki lat „Kurier Warszawski", „Gazeta Świąteczna" i „Tygodnik Illustrowany"; w Wielkopolsce „Kurier Poznański", „Gazeta Grudziądzka" i „Praca"; w Małopolsce „Czas", „Wieniec i Pszczółka" i „Przegląd Polski". Nawet po wojnie w odrodzonym państwie sytuacja wydawnicza na polu prasy przez dłuższe lata niewiele się zmieniła. Pozostały dawne przyzwyczajenia, widnokręgi myślowe, wpływy dzielnicowe głębsze niż się w tych organach opinii publicznej miało odwagę mówić. Wydawcy dzienników dawnych i nowych nie pokwapili się zorganizować środków technicznych na większą skalę, tak aby opanować rynek w całej Polsce. I tak „Robotnik", „Naprzód", „Głos Narodu", „Dziennik Poznański", „Dziennik Bydgoski", „Polonia", „Republika" (bardzo poczytna, lecz tylko... w Łodzi), choć ambicjami i charakterem wykraczały daleko poza ramy czysto lokalne, wypływały nader wątłym strumykiem poza swe rodzinne okręgi.

Dopiero w ostatnich latach przed wojną wydawnictwa prasowe jedno po drugim zaczęły sobie na dużą skalę torować drogi czytelnictwa i tworzyć rynek zbytu na cały kraj. Nawet partykularny „Czas" przeniósł się w tym celu do Warszawy. Jednocześnie jednak koncern „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" pokazał, że wydawnictwo nie potrzebuje wcale obierać siedziby centralnej w stolicy, żeby zdobyć palmę pierwszeństwa w poczytności.

Oczywiście, książki wędrują zawsze z miejsca na miejsce, krążą po kraju, robią kariery i poniewierają się, raz na wozie, to pod wozem — razem ze swoimi właścicielami. Nierównie często jednak pozostają w miejscu pierwotnego pobytu (najczęstszy motyw wyzbywania się książek przez właścicieli: „Likwiduję księgozbiór z powodu wyprowadzki"). To znaczy, że obieg książek ma swoje granice.

W rozważaniach naszych nad położeniem książki w Polsce i w wyprowadzaniu wniosków na przyszłość, przyjmujemy za stan normalny dwudziestolecie międzywojenne (1918—1939). Stosunki ówczesne nie były ustabilizowane, lecz odznaczały się wybitnym dążeniem ku stabilizacji. Są zatem wysoce pouczające.

Fakty wyczerpywania się książek w miejscu ich wydania zdarzać się będą zawsze i to bez względu na organizację, usprawnienia techniczne i możliwości rozpowszechnienia. W r. 1916 ukazało się we Lwowie pierwsze wydanie „Księgi ubogich" Kasprowicza. Mimo stosunkowo wysokiego nakładu 3.000 egzemplarzy i wojennych trudności transportowych, rozeszło się nadspodziewanie szybko. Dopiero drugie wydanie (Warszawa, 1919) zaznajomiło szerszy krąg czytelników w całym kraju z wojennym tomem wierszy Kasprowicza. W r. 1933 ukazała się w Krakowie, w przededniu bankructwa młodej firmy wydawniczej, monografia Adama Heydla o Malczewskim. Kłopoty kryzysowe skłoniły wydawcę do puszczenia książki na tanią wyprzedaż, toteż rozeszła się w nakładzie zaledwie 1.100 egzemplarzy, — niemal wyłącznie w miejscu wydania. Jednak wszystkie te przykłady dowodzą, że decydujący wpływ na **nakład, poczytność i powodzenie książki** — obok jakości i atrakcyjności towaru — ma **organizacja sprzedaży, umiejętność trafienia do czytelnika.**

Czytelnicy w Polsce są nieprzeliczeni. Rynek jest niezwykle chłonny. Głód książki panuje przeogromny. Czym i jak go zaspokoić, ile czego wydawać — to niełatwe pytania i olbrzymie zadania.

Antoni Trepiński

Mapa Pomorza Wschodniego

Pomorze Wschodnie. Mapa fizyczno-administracyjna. 1:500 000. Opracował **J. Szaflarski.** Bydgoszcz. Instytut Bałtycki, 1945.

Nazwę Pomorze, tak popularna i polską, rozciągnął autor na całe polskie pobrzeże Bałtyku i to nie bez pewnej racji. Tak został ten kraj nazwany przez instytucję jedynie kompetentną w tych sprawach — Instytut Bałtycki. Miał on ważne powody do zmiany nazwy tego kraju. Przede wszystkim chodziło o puszczenie w niepamięć wszelkich „West- i Ostpreussen", które to nazwy, choć pierwotnie także nieniemieckie, tak się skojarzyły u nas z niemczyzną, że dobrze się stanie, jeżeli wszelkie „Prusy" znikną raz na zawsze ze wszystkich zakątków Polski. Zresztą zapoczątkował to już rząd polski w r. 1920 przywracając dawną nazwę Pomorzu Gdańskiemu, choć mógł równie dobrze pozostawić dotychczasową nomenklaturę odnośnie Prus Zachodnich czyli „królewskich". Przecież większa część Pomorza w r. 1920 do Polski nie została przyłączona. Dalej nazwa „Pomorze" jest trafnym określeniem tych ziem, jako siegających „po morze". Po morze sięga cały nasz kraj obecnie na przestrzeni 500 km, a nie tylko nieco poza deltę Wisły i za Hel, jak było przed rozbiorami.

Jeżeli chodzi o przedstawienie terenu, to mapa — jak wszystkie zresztą mapy Szaflarskiego — przedstawia się dodatnio. Użyto tu, inaczej niż w mapie Śląska, gdzie mamy skalę barw międzynarodową Peuchera, skali bronzowo-żółto-zielonej. Jest ono może bardziej estetyczna i spokojna od poprzedniej, rażącej nieco kontrastem czerwieni i zieleni. Przy tym tony są tak dobrane, że mapa nie traci nic na wyrazistości, a nawet jest bardziej czytelna od mapy Śląska. Przyczyniła się do tego także dobór lepszych farb i w ogóle wykonanie techniczne prawie bez zarzutu.

Pięknie występują „Wzgórza Grunwaldzkie" i dopiero z tej mapy dowiadujemy się, że najwyższe wzniesienie Pomorza Wschodniego, nazywa się Dylewska Góra, o wysokości 312 m i że nie jest to znów tak blisko Grunwaldu, czy też Tannenbergu. Widoczne są również z mapy mało znane wzniesienia koło Biskupic, przyczyniające się zapewne do urozmaicenia tamtejszego krajobrazu. Pięknie występuje także środkowa bruzda jeziorna z największymi w Polsce jeziorami Śniardwy i Mamry. Za to trochę mniej wyraźnie ukazane jest trzecie w Polsce pod względem wielkości jezioro, o którego właściwej nazwie „Jezlorak", dowiadujemy się dopiero pierwszy raz z mapy.

Również kontrastowo występują wzgórza Elbląskie a zwłaszcza wzniesienia Stablaku lub Morąskie.

Pięknie również wyglądają na mapie depresje w delcie Wisły, koło Gdańska, Nowego Dworu, a zwłaszcza koło Elbląga.

Słowem, mapa sprawia korzystne wrażenie. Technika wykonania jest prawie bez zarzutu i świadczy o znacznym postępie naszej powojennej kartografii.

Mapa może stanowić ważną pomoc w nauce geografii w naszych szkołach.

Mieczysław Woźnowski

W poprzednim (59) numerze „Odrodzenia" z dnia 13 stycznia: **Konstanty Grzybowski:** O sprawach ważnych na codzień. — **Bogusław Kuczyński:** Notatki angielskie. — **Artur Sandauer:** Filozofia Leśmiana. — **Jan Tański:** O nowe metody w krytyce literackiej. — **Michał Rusinek:** Droga po szronie. — **as:** Fakty i zagadnienia. — **Józef Korpała:** Chłopski manifest Jana Wiktora. — **Józef Bieniek:** List ze wsi. — **Józef Sieradzki:** Powieść z X wieku. — **Tadeusz Breza:** „Balladyna" w Krakowie. — **Kazimierz Wyka:** Słuchając „Balladyny". — Korespondencja **(Witold Rudziński).** — **zb:** Przegląd prasy. — **ok:** Sprawa taktyczna. — **kos:** „Tygodnik Kaczyński". — **Z. Oskierka-Sławek:** Beletrystyka polska w przekładach rosyjskich. — **Jan Kott:** Po prostu. Protokół i przedpokój. — **Marian Promiński:** Kronika filmowa. — 5 ilustracji. — 8 stron.

PRZEGLĄD PRASY

Troska o ziemie odzyskane jest — i tego nie trzeba dowodzić — naczelną troską narodową. Jest to jednocześnie jedno z najbardziej skomplikowanych zagadnień gospodarczych, politycznych i kulturalnych, które musi być przez pokolenie znajdujące się obecnie w pełni żył nie tylko opracowane, lecz i praktycznie rozwiązane. Powstanie Ministerstwa Ziem Odzyskanych jest wyrazem zrozumienia przez rząd powagi tego zagadnienia. Lecz to nie wystarcza. Od współdziałania całego społeczeństwa zależy efektywność pracy. Zainteresowania ogółu nie mogą się zamykać perspektywa doraźnych, jednostkowych korzyści. **Perspektywa Odry** nie może być niedostrzeżona.

Pisarza, publicystę, pracownika kultury w najszerszym pojęciu tego słowa, oczekuje obowiązek, który musi być spełniony. — Ogarnąć umysłem i wyobraźnią problem repolonizacji tych ziem, skonkretyzować polski problem kulturalny, który musi tam być w życie wprowadzony. Winniśmy, bez wyjątku wszyscy wziąć sobie do serca wyrzut, który Śląsk w naszą stronę kieruje:

„Ministerstwo powstało, ale społeczeństwo i prasa milczą w ubliżający mu sposób. Gdzie są owe spodziewane, frapujące dyskusje nad problemami osadnictwa na Zachodzie? Gdzie namiętne dyskusje w tygodnikach literackich nad programem kulturalnym dla ziem odzyskanych? Zapoczątkowanej przez nas dyskusji na ten temat nikt nie podjął, choć w tym samym czasie rollo się w prasie literackiej od inwektyw i kalamburów z powodu sporu o realizm".

„Problemy tłoczą się, wyrastają z dnia na dzień nowe. Dokoła nich wszystkich musi się podnieść krzyk prasy, nachylić muszą ucha pisarze i publicyści. Troska bowiem o Ziemie Zachodnie należy do wszystkich, a nie tylko do kilku miłośników i entuzjastów polskiego Zachodu" („O d r a").

Współczesna problematyka kulturalna ma zakres szeroki i to jest naturalne. Niesposób stwarzać sztucznych hamulców wyznaczających „odtąd—dotąd". Ziemie Odzyskane, przebudowa ustroju, to oczywiście zagadnienia pierwszoplanowe. Lecz niesłusznie „Odra" odmawia sporowi o realizm ważności, gdyż spór ten jest związany ze sprawą kształtowania się poglądu na świat, nie jest więc błahy.

Jest on tym bardziej ważny, że wyniki jego nie są i nie mogą być przesądzone. Jest rzeczą charakterystyczną i zostało to zresztą powszechnie zauważone, że teoretycy, raczej ideolodzy realizmu, w twórczości swojej oryginalnej nie są bynajmniej wrogami psychologizmu **(Brandys),** a obrońcy formalizmu dają dowody wielkiej przenikliwości właśnie realistycznej, ukazując nowe stany człowieka **(Sandauer).** Jest sprawą najbardziej w tym sporze wstydliwą powoływanie się na poezję. **Wyka** (w „Twórczości") odmówił jej udziału w nowym stawaniu się, a **Zagórski** (tamże) realizm wiąże z klasycznością i źródła jego wskazuje w bardzo bagnistym terenie. To wszystko skłania do nabrania przekonania, iż w pierwszym etapie sporu o realizm oswojono jedynie publiczność z tym terminem przygotowując ją do możliwych wielkich niespodzianek. Dlatego nie wydaje nam się, by ten etap, nawet kalamburystyczny (jak chce „Odra") był bez znaczenia.

A zresztą nie hamulce, lecz bodźce, katalizatory winny być obecnie w powszechnym użyciu.

Środowisko profesorskie żyje wciąż na prawach autonomii i trudno komuś spoza, na odległość stawiać diagnozę, a tym bardziej wypisywać receptę. Lecz drugi numer miesięcznika „N a u k a i S z t u k a", redagowanego przez profesorów **J. Krzyżanowskiego** i **St. Kuczyńskiego** musi zastanowić. Nie było jeszcze publikacji, w której autorowie tak konsekwentnie unikaliby związków z bieżącą problematyka i tak stroniliby od zajmowania wobec niej stanowiska. Sprawy związane z bieżącym życiem są podane w sposób sprawozdawczy, bezperspektywiczny. Oczywiście rozumiemy, że są zagadnienia, do omówienia których inaczej przystąpić nie można. „Nauka i Sztuka" tego typu prace również zawiera. „Na drodze do dziejów bajki ludowej" **Juliana Krzyżanowskiego** jest poważnym i bardzo gruntownym studium, które raz jeszcze przedstawia znaną powszechnie głęboką wiedzę tego wybitnego humanisty. Omówienie ostatniego tomu bibliografii Estreichera pióra **Wiktora Weintrauba** (przedruk z londyńskiej „N o w e j P o l s k i") jest wzorem poważnej, naukowej, w formie essayu napisanej recenzji. Lecz już praca **Czesława Białobrzeskiego** „Czym jest materia" jest tylko popularnym wykładem o rozwoju współczesnej fizyki (od odkrycia promieni X do rozbicia atomu, 1895—1945), wykładem ciekawym, wprowadzającym, lecz nie pogłębiającym teoretycznie.

Część artystyczna „Nauki i Sztuki" wypełniają profesorowie, ich asystenci i członkowie ich rodzin. Nic przeto dziwnego, że te prace amatorów są najsłabsza strona miesięcznika. Jedynie proza pamiętnikarska **Stanisława Łempickiego** interesuje materiałem („W murach biblioteki" — o lwowskim Ossolineum). Jako poeci, krytycy i essayiści występują: **Jadwiga Gamska-Łempicka, Mieczysław Milbrandt** („Szkice" pośmiertne) i **Władysław Tatarkiewicz.**

Dział pisma, w którym redakcja mogłaby uwyraźnić swój stosunek wobec zjawisk współczesnego życia kulturalnego („Kronika literacka") jest prowadzony przez **Jerzego Pelca** niedbale i zdawkowo (ot taki sobie felieton dziennikarski, nie informujący ani rzeczowo, ani wszechstronnie). Natomiast dobry jest przegląd teatralny **(Kazimierza Koźniewskiego).** Razi ponadto całkowity brak informacji z życia nauki i sztuki za granicą. Dział recenzji z książek jest bardzo ubogi (dwie pozycje, 1½ stroniczki) i dobór ich przypadkowy.

Miesięcznik „Nauka i Sztuka" znajduje się wciąż jeszcze na drodze do znalezienia sobie miejsca wśród periodyków poświęconych sprawom kultury. „P r o b l e m y" zwalniają redakcję „Nauki i Sztuki" od obowiązków popularyzatorskich, a pisma literackie z „Twórczością" na czele spełniają dobrze funkcję reprezentowania sztuki. Miejsce przedwojennego „Przeglądu Współczesnego", który pod redakcją Stanisława Wędkiewicza tak ważną rolę utrzymywania łączności nauki polskiej z nauką europejską w naszym życiu kulturalnym wypełniał, pozostaje wciąż niezajęte.

Tymczasem w czasopismach literackich związki z kulturami Zachodu i Wschodu zajmują coraz więcej miejsca. „T w ó r c z o ś ć" (zeszyt 3) „K a m e n a" (zeszyt 1) zamieściły kolumny przekładów z poezji rosyjskiej. „K u ź n i c a" dała kolumnę poezji francuskiej, a obecnie drukuje doskonałe dwa przekłady **Adama Ważyka** z Aragona. Należy podkreślić, by nie minął niezauważony, fakt dokonania przez **Romana Kolonieckiego** przekładu całej „Młodej Parki" Paul Valéry'ego („Ż y c i e L i t e r a c k i e").

Związki z kulturami europejskimi nie są jednostronne. Rocznica mickiewiczowska stała się, szczególnie w Związku Radzieckim, świętem kulturalnego zbliżenia między Polską a ZSRR. Ukazał się tam cały szereg publikacji omawiających rolę Mickiewicza w zbliżeniu i zrozumieniu się całej Słowiańszczyzny. Dobrze się stało, że to znaczenie Mickiewicza zostało podniesione i na Zachodzie. Tym bardziej, że przez Polaka.

Edward Krakowski w paryskich „N o u v e l l e s L i t t é r a i r e s" w artykule „Mickiewicz poète et patriote" pisze:

„Zagadnienie wzajemnych stosunków Polski i Rosji ukazane przez Mickiewicza w sposób proroczy, jest sprawą najbardziej aktualną".

Omówiwszy stosunki Mickiewicza z Puszkinem i dekabrystami, E. Krakowski podnosi ścisły związek, jaki istniał w przeszłości między ruchem rewolucyjnym w Polsce i Rosji:

„W końcu 1825 roku istniał ścisły związek między patriotami polskimi i ruchem reformatorskim w Rosji. Związek bardzo znamienny, którego ważności nigdy się dostatecznie nie podniesie".

zb

ADAM DIDUR
znany artysta-śpiewak, zmarł nagle w Katowicach 7 stycznia 1946 r.

Z życia koncertowego w Krakowie

Z radością powitaliśmy program koncertu czwartkowego (10. I.) w Filharmonii krakowskiej, który zawierał aż trzy utwory polskich kompozytorów współczesnych: **Ekiera** „Suitę góralską", **Maklakiewicza** „Taniec japoński" i „Uwerturę tragiczną" **Panufnika,** a więc kompozytorów młodego i młodszego pokolenia o różnych fizjonomiach artystycznych. Jedynie tylko umieszczenie w programie utworów Ekiera i Maklakiewicza w bezpośrednim sąsiedztwie (dwa typy „egzotyki") nie było szczęśliwym pomysłem. Osłabiło to w pewnej mierze ich specyficzny urok. „Suita góralska" Ekiera jest niewątpliwie utworem bardzo ciekawym, zarówno ze względu na sam dobór materiału, jak i na sposób posługiwania się nim. Znać tu na każdym kroku tak znamienne dla współczesnych twórców europejskich („Suita góralska" nie jest utworem najnowszym Ekiera, napisana została przed dziesięciu laty) dążenie do autentyzmu, do odkrywania poprzez rzemiosło i technikę XX wieku odrębnego piękna muzyki ludowej. Okazuje się, że świat dźwięków tej muzyki ludowej nie jest bynajmniej tak odległy od naszych dzisiejszych ideałów artystycznych. W zamiłowaniu do bezpośredniości wyrazu, w dynamiczności i małym stosunkowo skomplikowaniu treści wyrazowej, muzyka ludowa jest nam tak bliska, że zbliżenie się współczesnej artystycznej muzyki do ludowości wydaje się rzeczą zupełnie zrozumiałą. Kompozycja Ekiera momenty te uwydatniła. Bije z niej szczerość i entuzjazm dla materiału dźwiękowego co przejawia się w szczęśliwej instrumentacji. Słaba jej stroną jest zbyt mała spoistość formalna. Trudno o stosunku kompozytora do materiału mówić na podstawie „Tańca japońskiego" Maklakiewicza, gdyż japońska muzyka ludowa jest dla każdego z nas egzotyka zbyt odległą. Została ujęta w subtelne ramy dźwiękowe i instrumentacyjne, które odpowiadają naszemu mglistemu wyobrażeniu o starej muzyce Japonii. Kompozytor nie ustrzegł się pewnej nużącej monotonii, która — jeżeli była zamierzona — nie narzuca się słuchaczowi w sposób dość sugestywny. „Uwertura tragiczna" Panufnika potwierdziła przy powtórnym słyszeniu wrażenie pierwszego wykonania jako dzieło dużego talentu i świetnej — zadziwiającej u kompozytora o tak „młodym" doświadczeniu — znajomości rzemiosła.

Solista tego wieczoru **Jan Ekier** wykonał z towarzyszeniem orkiestry pod batuta **A. Panufnika** fortepianowy koncert d-moll Mozarta. Technika pianistyczna Ekiera jest dziś świetna. Podnieść należy bardzo trafne ujęcie dynamiki dźwiękowej Mozarta, szkoda tylko, że dźwięk pozbawiony został naturalnego wdzięku i koloru, bez którego koncepcja Mozarta zawsze pozostanie niepełna. Znaczne zastrzeżenia budziło samo brzmienie orkiestry: była za ciężka, za masywna w stosunku do fortepianu. Orkiestra w ogóle nie miała zbyt szczęśliwego dnia, jej dyscyplina pozostawiała wiele do życzenia, instrumenty dęte w Barsantim miały sporo grzechów na sumieniu. Jest to prawdopodobnie wina zbyt małej ilości prób. Najlepiej przedstawił się Panufnik jako dyrygent w swej uwerturze, choć i ten utwór brzmiał w pierwszym wykonaniu o wiele lepiej (tempo chwilami chyba za wolne).

Poranek niedzielny w Filharmonii przyniósł dobry program o charakterze popularnym. Z rzeczy rzadko słyszanych na naszych estradach koncertowych warto wymienić wstęp do dramatu Mussorgskiego „Chowanszczyna", choć tylko w początkowej części dający pewne wyobrażenie o specyficznym charakterze inwencji tego kompozytora, oraz Arenskiego wariacje na temat Czajkowskiego, piękne, ale opracowane w mdłym stylu salonowo-wirtuozowskim.

Temat do dyskusji dał **„Wieczór kolęd"** w Filharmonii pod batutą **A. Panufnika.** Był to szereg pięknych, mało znanych melodii kolędowych, opracowanych na chór lub częściowo na chór i partię solowa z towarzyszeniem orkiestry przez **J. A. Maklakiewicza.** Impreza taka — zwłaszcza w ramach koncertu popularnego — jest zupełnie uzasadniona. Zastrzeżenia jednak budzić musi sam sposób, w jaki kolędy zostały wykonane. Opracowania melodii o charakterze ludowym mają swoją rację w dwóch wypadkach: albo — dla celów popularyzatorskich, gdy są proste, dostosowane w formie i środkach do materiału, którym się posługują, albo — dla celów artystycznych, gdy stanowią kanwę dla inwencji kompozytora. Wtedy mogą być uzasadnione wszelkie środki, usprawiedliwione rodzajem tej inwencji i jej stosunkiem do materiału. Opracowanie Maklakiewicza było typowym przykładem kompromisu między jedną a drugą postawa twórcza i dlatego efekt był wątpliwy: artystycznie chybiony, nie spełnia też swego zadania popularyzatorskiego, co można było wyraźnie wyczuć z reakcji sali, bardzo wstrzemięźliwej. Harmonizacja tzw. artystyczna, ale ograniczająca się przeważnie do zużytych banałów, instrumentacja pełna tanich efektów (ustawiczne arpegia, harfy, dzwonki, często nie uzasadnione użycie blachy), przytłacza mnóstwem fałszywych dekoracji. A już zupełnie niezrozumiały jest u kompozytora tej klasy, co Maklakiewicz, pomysł włączenia w kolędę „Lulajże Jezuniu" fragmentu chopinowskiego scherza, związania ze sobą — i to związania tak nieartystycznego (z przeniesieniem poszczególnych części tego scherza do orkiestry) rodzajów i stylów muzyki tak absolutnie różnych. Komentarze konferansjera były bardzo niewybredne: wystarczy choćby przytoczyć fakt, ze scherzo Chopina, utwór o którego tragizmie pisano tomy w najróżniejszych językach świata, nazwany został „żartobliwym", a mazur z „Halki" — „symbolem naszej dumy narodowej". Tak „uświadamia się" publiczność w mieście, będącym ośrodkiem centralnym naszego życia kulturalnego i intelektualnego!

Do programu włączone zostały dwie kolędy w opracowaniu **Izbickiego,** młodego kompozytora, który zginął w r. 1939. Jego „Kolęda krakowska" zwracała uwagę prostotą, bezpośredniością i ładną, świeżą harmonizacją.

Dyrygował sprawnie A. Panufnik. Chór Filharmonii, dobrze zdyscyplinowany, nie był jednak dość wyrównany w poszczególnych rejestrach (soprany kryły zanadto głosy niższe). Obie solistki **(Rogalska i Kowalska)** wywiązały się nienagannie ze swego zadania. Zainteresował zwłaszcza dźwięczny głos i muzykalność Rogalskiej.

Stefania Łobaczewska

W teatrach krakowskich

„Lompa" (Wiosna ludów) Kazimierza Gołby, która Adwentowicz wystawił w Katowicach, a obecnie wznowił w krakowskim Teatrze Powszechnym jest sztuką typowa. Jej bohaterem tytułowym jest postać historyczna, jej bohaterem istotnym — miłość ojczyzny. Do splecenia takich sztuk wystarczy kilka strun. Pierwszą zawsze będzie bezgraniczne poświęcenie człowieka dla spraw swojego narodu, drugą nikczemność jego wrogów, trzecia — snująca się przez sztukę jakaś ludzka dobroć. Ale mimo to, że sztuka Gołby stworzona jest na wzór tylu innych, pozostanie w swoim rodzaju rzadkim wyjątkiem. Ponieważ żadna ze wspomnianych strun nie dźwięczy w niej pusto, jak w tylu innych zbudowanych na wzór i podobieństwo „Kościuszki pod Racławicami". Gołba wymusza od nas wzruszenie szczere, rozrzewniając nas i nakazując nam wibrować patriotycznie.

I to jest cenne. Ale nie tylko to! Ważny jest w sztuce Gołby sam fakt jej historyczności. Powieść polska do pierwszej połowy XIX wieku niemal wyłącznie historyczna, potem wciąż jeszcze bogata twórczością historyczną Sienkiewiczów, Żeromskich, Reymontów, za naszych czasów prawie całkowicie zarzuca ten gatunek. Berent był dla nas już tylko chodzącym wykopaliskiem. Kossak-Szczucka mistrzowską falsyfikatorką rodzaju, którego by nikt w sposób istotnie nowy jąć się nie umiał. Toż w teatrze. Wprawdzie to rzecz zupełnie zrozumiała, że dawne wielkie widowiska historyczne, z których żadne nie miało większych osobistych zalet — pomarły. Czemuż jednak wygasł sam rodzaj? Z jakiego powodu? Utarło się mniemanie, że historyczność w naszej literaturze funkcjonowała do wielkiej wojny jako elewator patriotyzmu, po odzyskaniu niepodległości jakoby już niepotrzebny. Hm! To coś tak jakby doktór, dlatego, że myje ręce przed operacją, przestał je myć, że tak powiem, dla siebie! Podczas niedziel czy urlopów! On je myje. I tak samo literatura winna się zajmować historią — dla siebie. W ogóle. A już tym bardziej dziś, kiedy znowu spadają na nią obowiązki szczególne. Bo właśnie historia pomoże nam rozpoznać się i przypomnieć sobie, czym były dla nas te różne utracone, a teraz na nowo odzyskane historyczne ziemie. Czemuż nigdy żaden Sienkiewicz nie pchnał się był piorem na zachód! Wtedy na pewno wielu z nas nie przysuwałoby się myślą do tych połaci naszego kraju jak pies do gruszki, powiadając sobie — „Ki diabeł!" Porwać więc na nich musimy w górę nie tylko domy, stacje i fabryki, ale i wszystkie duchy z tych ziem. Duchy tych różnych tajemniczych, dawnych, potężnych postaci, które dziś ledwo, piąte przez dziesiąte, znamy z ich historycznych przydomków. Zawsze takich bezceremonialnych! Widłobrody, Sinozęby, Laskonogi! Tak się wtedy o ludziach mówiło. O książętach! Jakże wcześniej ludzie mocni znikli z historii tych ziem. I tak doszczętnie, że na ciąg kilkuset lat te ziemie zdają się tracić nasienie, z którego rodzili się podobni ludzie — zadziorni, pazerni, nieustępliwi. Wreszcie po kilku wiekach powrót! Znów z śląskiego gruntu wyrasta legion ludzi upartych. Życie ich w niczym nie przypomina tamtych istnień książęcych, karkołomnych. Te są ciche, trzecio-czwarto-, dziesięciopłanowe. Klasyczne egzystencje korzonków, które się biorą do rozsadzania skał. Nazwiska? Lompa, Ficek, Miarka, Smolka, Bończyk, Szafranek!

Lompa był nauczycielem i organistą. Takie od życia otrzymał zajęcie z przydziału. Nie mieścił się w nim. Dobrał sobie dziesiątek innych. Pisarz, tłumacz, prawnik na potrzeby swojej wsi, organizator różnych polskich kół, działacz polityczny I — poeta! Rok starszy od Mickiewicza. Wyrósł z ziemi o tysiąc lat starszej w swojej polskości od Nowogródka, a intelektualnie cofniętej bardziej niż o milion. Lecz w Lompie czuć ten sam, co w Mickiewiczu Dickensie, Balzaku, rozmach pokolenia. Rozmach, który wybranym ludziom epoki pozwalał przeskakiwać wieki. Z literatura, kultura, myślą swego narodu, czy ziemi na karku. Lompa z najbliższymi „Śląsko" tak pchnął, ale już Polski nie zastał tam, gdzie była przed kilkunastu laty. Bo znowu Polskę pokolenie Mickiewicza w olbrzymim susie posunęło wprzód. I Lompy nie chciano drukować w Poznaniu, w Krakowie, w Warszawie! Ale bo jak? „Żem nie jest znany, co jest przyczyną?" — Czy na Śląsk, czy na stan spada wina? — Szkoda, że papieru tyle psuję. — Że tak wiele pisze i rymuję".

Gołba nakreślił swoją sztukę z siłą i delikatnością. Pisał ją przed wojną. Jeszcze z ostatkiem różowego koloru w okularach, przez które można było wtedy patrzeć na Niemców. Postać bohatera opatrzył we wszystkie główne, pierwszoplanowe cechy, jakie znamy z jego historii, cechom drugoplanowym, tym prawie że plamkom, — ambicji, manijności poetyckiej, piwoszowstwu, — nie dał się ujawnić. Również nie wysunął na front jego nadaktywności. Lompa miał 12 dzieci i we wszystkim był taki! Gołba i tę właściwość lekko zasnuł I słusznie. Nie dlatego tylko, że trudno było by Lompie chodzić po scenie z tuzinem dzieci, ale dlatego, że widowisko Gołby nie ma być opowieścią biograficzną o jednym tylko Lompie. Ale o Nich. Poprzez jego postać, przy jej pomocy o Nich wszystkich! O tej plejadzie zdumiewających latarników, płaczących nad „Panem Tadeuszem" dla jego piękności i dlatego, że nie mogą ich zrozumieć, walczących o język narodowy, ale z wiedzą, że ten, którym władają, jest narzędziem przestarzałym, prostaczym, krzemiennym. Latarników, pełnych tęsknot za krajem ojczystym, sobie nieznanym, prowadzonych ku niemu porywem fizycznym, prawie rzec można, lunatycznym. Bo na ślepo i na głucho.

Teatr Powszechny uczynił z „Wiosny ludów" widowisko piękne. Reżyseria **Grywińskiej** zwarta je w ścisłą całość. Dekoracje na poły operowe W. Błażejewskiego pasowały do widowiska. Lompę grał **Adwentowicz.** Szczery, prosty, patetyczny, do głębi wzruszający. Ale czy podobnych kreacji równie jednotonnie podniosłych nie warto by przystrajać tu i ówdzie w uśmiech, w trochę radości. W „Lompie" były momenty, w których akcja wcale by nie była od tego. Nic nie pojmującą z wielkości męża Weroniką była **H. Rozwadowska.** Doskonała! Spoglądam na afisz. W całości należałoby go przedrukować. Przede wszystkim jednak: **A. Jasińska, T. Schmidta, M. Gielniewskiego, J. Niwińskiego, A. Szczepkowskiego, Z. Filusa, M. Jabłońskiego** w podwójnej roli kowala, a potem zniemczonego polskiego szlachcica. Pełnym uroku zjawiskiem spektaklu była **Elżbieta Osterwianka,** córka Lompy. Budziła sympatię szlachetną grą, sceniczną urodą, głosem pięknym i przejmującym.

Tadeusz Breza

Mówił Mickiewicz

W ramach uroczystości, związanych z 90 rocznicą śmierci Adama Mickiewicza, odbyła się w krakowskim teatrze im. J. Słowackiego akademia, poświęcona pamięci poety. Być może, że wystawienie chociażby fragmentów dramatycznych natrafiłoby na zbyt trudne do pokonania przeszkody. Być może jednak, że za późno zaczęto w teatrach krakowskich myśleć o uczczeniu tej rocznicy. Dla uspokojenia własnych sumień dyrekcje teatrów znalazły wyjście pośrednie: **Mieczysława Kotlarczyka,** dyrektora Teatru Rapsodycznego poproszono o urządzenie poranku mickiewiczowskiego, w którym wzięliby udział artyści wszystkich scen Krakowa. Kotlarczyk zabrał się do pracy i stworzył rzecz, godną omówienia i zapamiętania. Siedząc na widowni, na której nie spostrzegłem zresztą ani jednego z kolegów redakcyjnych, obecnych normalnie na każdej premierze, z każdą chwilą silniej utwierdzałem się w przekonaniu, że wszystkie akademie, tylekroć cierpko wspominane w prasie, powinien organizować Kotlarczyk, a wówczas do cierpkich uwag nie byłoby powodu. Poranek nosił tytuł: „Mickiewicz mówi". Istotnie ustami najlepszych krakowskich aktorów mówił tylko Mickiewicz i to było pierwszym i zasadniczym plusem całości. Kotlarczyk układając teksty położył nacisk na drugą, poetycką część ogólnego programu, w części pierwszej, poświęconej filozoficzno-politycznej twórczości Mickiewicza umieszczając tylko te fragmenty „Pielgrzyma", „Wykładów" „Ksiąg" i listów, których podziwu godna aktualność i głębokość myśli społecznej wywierała wstrząsające wrażenie. Wieczna waga słów oskarżenia i nauki, problem emigracji, zadanie daleko posuniętych reform społecznych — te wszystkie elementy zostały tu należycie uwypuklone i złączone w harmonijną całość półgodzinnej recytacji. Część poetycka otwarły fragmenty „Pana Tadeusza" i „Konrada Wallenroda", recytowane przy współudziale chóru. Teatromani krakowscy znają dawniejsze wieczory Teatru Rapsodycznego, poświęcone montażom inscenizacyjno-recytacyjnym tych samych dzieł. Tutaj rozbudowano poprzednie koncepcje Teatru Rapsodycznego. Mając do dyspozycji dużą scenę i prawie nieograniczone możliwości operowania światłem, a ponadto dysponując zastępem wybitnych artystów, Kotlarczyk osiągnął nadspodziewanie pomyślne rezultaty. „Pieśń Wajdeloty" i „Wiosna roku 1812" były naprawdę doskonałymi inscenizacjami poezji niedramatycznej, żyjącej na scenie najpełniejszym życiem.

Wspominając wykonawców akademii niesposób oprzeć się ogólniejszym refleksjom. Przedwojenna krytyka teatralna nazbyt często zarzucała aktorom nieumiejętność, albo w najlepszym razie niedbalstwo i lekceważenie, z jakim przystępują do mówienia wiersza. Stwierdzić należy, że dzisiejszy krytyk ma — przynajmniej w Krakowie — bardzo mało powodów do tego rodzaju narzekań. Co prawda, niewiele dotychczas słyszeliśmy dramatów, pisanych wierszem: niemniej chociażby ów mickiewiczowski poranek dowiódł, że aktorzy pracują nad wierszem i umieją go wygłaszać. Konspiracyjne prace teatralne, w których wiersz polski był drogocennym materiałem twórczości aktora, mają w tym niewątpliwie duże zasługi.

W akademii brali udział przedstawiciele czterech najwybitniejszych scen krakowskich: teatru im. Słowackiego, Starego, Rapsodycznego i Powszechnego. **Adwentowicz, Karbowski, Solarski i Ciecierski** wystąpili w pierwszej części poranku. Następnie fragmenty „Pana Tadeusza" i „Konrada Wallenroda" recytowali **Białkowski** i **Burnatowicz.** Obok tych dojrzałych i uznanych artystów ukazały się młodziutkie aktorki Teatru Rapsodycznego: **Kwiatkowska, Michałowska** i **Ostaszewska,** oraz Teatru Miejskiego: **Niedźwiecka, Rysiówna** i **Szyszko-Bohusz.** Razem stanowiły one chór, wygłaszając poza tym ciekawie rozłożone partie solowe. Aktorki Teatru Rapsodycznego, będące od dawna uczennicami Kotlarczyka, który specjalnie czuwa nad kunsztem recytacji, zaprezentowały się lepiej od swych koleżanek z Miejskiego. W tej „drugiej trójce" szczególną uwagę zwracała Kazimiera Szyszko-Bohusz, dzięki nie tylko warunkom głosowym, lecz także prostocie i opanowaniu. Muzykę do całości opracował **Antoni Żuliński.** Wykonawcami byli **Żuliński** (skrzypce), **Gorecka** (wiolonczela) i **Niżyńska** (fortepian).

Akademię poprzedził polonez a-dur Chopina i „Pieśni odwieczne" Karłowicza, odegrane przez orkiestrę Filharmonii pod dyr. **Waleriana Bierdiajewa.**

Juliusz Kydryński

KORESPONDENCJA

O JEDEN UŚMIECH
Do redaktora „Odrodzenia"

Będąc na premierze sztuki Fauchois „Ostrożnie, świeżo malowane" w teatrze Kameralnym w Krakowie, krytyk Tadeusz Breza kątem oka zauważył uśmiech na ustach siedzącego również na widowni prezesa krakowskiego Związku Plastyków Czesława Rzepińskiego. Później w recenzji z tego przedstawienia opublikowanej w 56—57 numerze „Odrodzenia" podał fakt owego uśmiechu do wiadomości publicznej, oraz dał do zrozumienia, że jedna z przyczyn powodujących ów uśmiech na twarzy plastyka jest fakt, że malarstwo i to malarstwo najtrudniejsze, najbardziej nowatorskie wywalczyło sobie w Polsce obecnie takie prawo obywatelstwa, że wystawienie sztuki Fauchois, której tendencja jest walka z kołtuństwem odbiorców na odcinku malarstwa, można uznać za wyważanie drzwi otwartych. Miał to być więc uśmiech tryumfu i pobłażania, jaki wywołuje w człowieku wspomnienie dawno pokonanych trudności.

Uśmiech Rzepińskiego ma widać dar budzenia zainteresowania. W mroku widowni został dostrzeżony i zanotowany przez krytyka, krótka zaś wzmianka o nim, opatrzona takim komentarzem, spędza sen z moich powiek. Jako członek Związku Plastyków miałem początkowo zamiar zwrócić się z formalna interpelacja do zarządu, dlaczego prezes dopuszcza w publicznym miejscu na swoje oblicze uśmiechy budzące w widzach tak fantastyczne przypuszczenia co do ich natury. Trzeba się uśmiechać wyraźniej, mniej dwuznacznie. To, żeby istotna przyczyna uśmiechu Czesława Rzepińskiego była taka jak ją chciał widzieć krytyk, według mnie nie wchodziło w rachubę.

Nie zdecydowałem się jednak na urzędowe wystąpienie w tej sprawie. Uznałem po namyśle, że poddawanie czarownej krainy uśmiechu czynnikowi samorządowemu byłoby przesadą. Ponadto należało się liczyć z możliwością, że malarz poddany tak szczegółowej kontroli przestałby się w ogóle uśmiechać, do czego w żadnym razie nie chciałbym dopuścić. Muszę się więc zwrócić w innym kierunku.

Rozumiem, że fikcja owego idealnego stanu rzeczy w dziedzinie plastyki była Brezie potrzebna do dalszego ciągu artykułu. Ale czy godzi się przy okazji wywalczania miejsca dla nowatorów teatru wmawiać tzw. szerokiej publiczności, że jej stosunek do malarstwa, do dobrego malarstwa nie pozostawia nic do życzenia. Bo taki chyba wniosek ma każdy prawo wyprowadzić z twierdzenia, że komedia, której treścią jest walka z kołtuństwem handlarzy sztuki i jej odbiorców, jest w tej chwili wyważaniem drzwi otwartych. „Szeroka publiczność" gotowa uwierzyć w to pochlebne dla niej twierdzenie krytyka i uznać, że jej aktualne upodobania artystyczne, których przedmiotem w ogromnej większości wypadków są oleodruki, sentymentalne ilustracje i amatorskie akwarelki, są właśnie tymi, o które nam chodzi. Cóż z tego, że owo twórcze, nowe malarstwo opanowało, jak mówi Breza, obie akademie i wystawę, że cieszy się sympatią czynnika urzędowego? Są to fakty nie pozbawione znaczenia, ale trzeba sobie zdać sprawę, że nie są to objawy zwrotu czy uświadomienia szerokich rzesz, ale wyniki akcji kilkudziesięciu wpływowych i energicznych ludzi. Położono dłoń na klamce, do otwarcia drzwi jeszcze bardzo daleko. W stanie uświadomienia ogółu w sprawach artystycznych nie zmieniło się prawie nic, bo na taka zmianę potrzeba czasu. W oczekiwaniu na tę zmianę uśmiechamy się. Ale jest to uśmiech nadziei, nie tryumfu.

Stanisław Byrski (Łódź)

SPRAWA NAJPILNIEJSZA
Do redaktora „Odrodzenia"

Artykuł Henryka Dobrowolskiego w „Dzienniku Polskim" w sprawie katastrofalnego stanu zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie przyjęliśmy z najwyższym niepokojem i troską o całość zbiorów naszej kultury ludowej.

W Krakowie, centrum tradycji artystycznych, jedyne muzeum polskich zbiorów etnograficznych, posiadające 16 000 okazów, ulega zagładzie z braku lokalu. Dorobek kulturalny ludu polskiego zaprzepaszcza się w piwnicach. Okazy rzadkie i bezcenne giną. Przedmioty zbierane mozolnie przez szereg lat i wielu ludzi, kapitał kulturalny ludowy i skarb jego najistotniejszy. Materiał badań naukowych dla etnografów, historyków sztuki, ludoznawstwa, socjologów.

Najwybitniejsi Polacy uważali kulturę ludową za zdrową i niepożytą wartość o znaczeniu ogólnonarodowym: Lelewel, Staszic, Dołęga-Chodakowski, Kolberg, Karłowicz i cały szereg etnografów doby późniejszej. Dla genialnych artystów tej miary co Mickiewicz, Chopin, Rodakowski, Gierymski, Paderewski, Szymanowski i Makowski, kultura ludowa była źródłem twórczych natchnień.

Nie wyobrażamy sobie pracy etnografów, badaczy sztuki ludowej bez możności bezpośredniego kontaktu ze zbiorami. Jaką w takim stanie rzeczy może być praca seminariów etnografii słowiańskiej, pedagogiów, liceów instytutów i ośrodków kultury plastycznej?

Bezpośrednio po ukazaniu się artykułu Henryka Dobrowolskiego zgłosili się plastycy i konserwatorzy gotowi do pracy nad zabezpieczeniem i konserwacją zbiorów Muzeum Etnograficznego.

Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków w Krakowie uważa za rzecz najpilniejszą:

1. znalezienie lokalu dla zbiorów
2. podjęcie pracy konserwatorskiej,
3. udostępnienie zbiorów ogółowi społeczeństwa i instytucjom naukowym.

Zarząd Związku zwraca się tą drogą do czynników urzędowych, do Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, do Miejskiej Rady Narodowej, do Muzeów, organizacji oświatowych i związków zawodowych z apelem o podjęcie natychmiastowej akcji w sprawie ratowania zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Nie wątpimy, że głos nasz nie pozostanie bez echa w społeczeństwie, a władze uznają tę sprawę za zasadniczą dla naszej kultury.

Zarząd Związku Zawodowego
Polskich Artystów Plastyków w Krakowie.

WYJAŚNIENIE
Do redaktora „Odrodzenia"

W związku z notatką zamieszczoną w 58 numerze „Odrodzenia" („Przegląd prasy"), uprzejmie proszę o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Nieprawda jest, jakobym był jednym z dwóch ocalałych uczestników akcji na Kutschcrę. Z akcji tej rzeczywiście do tej chwili przetrwało jedynie dwóch. Są to moi koledzy, których relacje i spostrzeżenia w wydatny sposób przyczyniły się do wrażenia autentyzmu, jakie autor notatki miał przy czytaniu „Kutschery" i „Hahna".

Jerzy Chram-Piórkowski (Warszawa)

SPROSTOWANIE
Do redaktora „Odrodzenia"

W recenzji z filmu pt.: „Iwan Groźny" zamieszczonej w poprzednim numerze „Odrodzenia" — zagalopowałem się, wysyłając cara Iwana na wyprawę kazakstańską, zamiast zadowolić się wyprawą kazańską. Pomysł sam w sobie może dobry, ale historycznie grubo przedwczesny. Swoją pomyłkę mogę wytłumaczyć chyba tylko sugestią z czasów wojny, kiedy mówiło się więcej o Kazakstanie niż o Kazaniu.

Marian Promiński

Nowa demokracja

Buduje jej zasady pan Paweł Winnicki w nr 6 „Tygodnika Warszawskiego".

„Wybory projektowane na luty—marzec" — pisze pan Paweł — „mają się odbyć pod kontrolą międzynarodową, a więc zgodnie z wymogami demokracji".

Brawo, panie Pawle! Oczywiście, konstytucje wszystkich państw demokratycznych przewidują w wypadku wyborów kontrolę międzynarodową. Na wybory w demokratycznych Stanach Zjednoczonych przyjeżdżają, jak wiadomo, Chińczycy, Francuzi, Anglicy i Persowie, aby kontrolować oddawane głosy. Uczyliśmy się przecie w szkole, że wymogi demokracji nie pozwalają państwom przeprowadzać wyborów na własną rękę. Demokracja bowiem w ogóle zasadza się na kontroli międzynarodowej. Niemcy są dziś państwem najbardziej demokratycznym, bo kontrolowanym przez cztery inne państwa. Niech żyje „kontrol" międzynarodowa! Zwłaszcza w tych wypadkach, gdy kontrolują państwa kapitalistyczne, prawda panie Pawle? Niech żyje kontrola anglosaskiego kapitału wraz z „Tygodnikiem Kaczyńskim" nad Polską! Czy nie tak, panie Pawle?

Niech żyje kontrola medycyny nad ludźmi poszkodowanymi umyślowo! Proszę się nie gniewać, panie Pawle.

kos

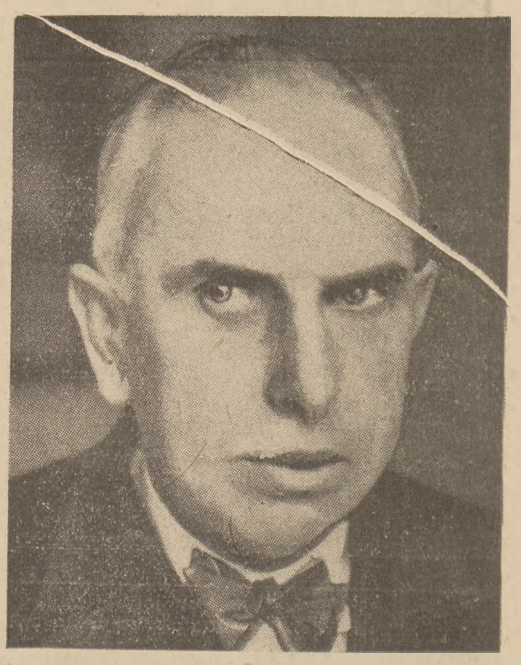

THEODORE DREISER
wybitny pisarz amerykański, autor „Tragedii amerykańskiej", zmarł 29 grudnia 1945 r.

JERZY ANDRZEJEWSKI

NOC

STR. 220 ZŁ. 140.—

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna: w administracji 78 zł, w punktach sprzedaży „Czytelnika" 82.50 zł, z odnoszeniem do domu w Krakowie 84 zł, zamiejscowa przez pocztę pod opaską 84 zł.
M — 66251 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".